Biblioteka Główna UMK Toruń
038944 | 1952

NUMER 143/144

1952

PORADNIK KULTURALNO-OŚWIATOWY

wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
Sekcja Polska
w W. Brytanii

TRESC

PRENUMERATA: Roczna — £1 sh. 1. Półroczna — sh. 12.
Cena numeru pojedyńczego sh. 2, podwójnego sh. 4 wraz z przesyłką.

We Francji: Comité d'Action YMCA en France, Sekcja Polska, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-e.
PRENUMERATA: Roczna 700 frs., półroczna 360 frs. Cena numeru pojedyńczego 60 frs., podwójn. 120 frs.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £40. 1/2 str. — £21. 1/4 str. — £11. 1/8 str. — £6. 1/16 str. — £4.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.
Przedruk materiałów oryginalnych i specjalnie dla „Poradnika Kulturalno - Oświatowego" napisanych dozwolony tylko za zezwoleniem Redakcji.

Printed by „Gryf Printers (H. C.) Ltd.", 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11.

P O R A D N I K
KULTURALNO - OŚWIATOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Nr 143/144 Rok 13 | Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Polska Sekcja w W. Brytanii, 6, Cadogan Gdns., London, S. W. 3. | Lipiec - sierpień 1952

FELIKS BIELSKI

PLANOWA ROBOTA

„Nie mamy czasu na planowanie. Za wiele potrzeb bieżących domaga się niezwłocznego zaspokojenia, aby stać nas było na wybieganie myślą zbyt daleko w przyszłość. Poza tym nieomal każdy miesiąc zdaje się przynosić jakieś niespodzianki, które naszą zabiegliwość i przezorność obracają w niwecz. Jeżeli pojawi się coś, co wymagać będzie natychmiastowego działania, damy sobie jakoś radę. Przyjemniej jest odbywać społeczną podróż „w nieznane“ niż biedzić się z góry nad trudnościami, które może same się rozwieją bez naszego współudziału“.

Tak rozumuje podświadomie wielu działaczy oświatowych i społecznych. Rozpowszechnione jest przekonanie o naszych zbiorowych zdolnościach do improwizacji. Jest wiele skupień polskich, w których praca kulturalno-oświatowa biegnie dosłownie od obchodu do obchodu: kiedy zbliża się jakaś rocznica czy święto, zaczyna się gorączkowa krzątanina, gromadzenie środków, zwoływanie współpracowników, — a gdy uroczysta data przeminie, nastaje okres błogiej bezczynności aż do następnej okazjii.

Pismo nasze poświęcało zawsze wiele wysiłku, aby wzbudzić przekonanie o konieczności planowania w sferze wychowawczej i kulturalno-społecznej. Znaczna liczba sukcesów, jakimi może poszczycić się YMCA na szerokim świecie, wynika właśnie z ogromnej wagi, jaką imciarze przywiązują do planowania. Na ten temat istnieje już wcale obfity zasób wydawnictw, z których zaczerpnąć można wiele praktycznych rad i wskazówek.

Właściwie co do samej zasady planowania zbyt jaskrawych różnic opinii nie ma. Ilekroć oświatowcy zetkną się ze sobą na jakimś zjeździe, kursie czy przy innej sposobności, zawsze pojawia się zagadnienie planu pracy, jako niezbędnego czynnika we wszelkiej działalności kulturalno-społecznej zakrojonej na szerszą skalę. Dopiero kiedy dochodzi do wcielenia założeń ogólnych w życie, okazuje się, że ciągle aktualny jest sąd Słowackiego o Lechu, który rządził bez jutra.

Gdzież przyczyna tego stanu rzeczy? Nasze usposobienie popycha nas do akcji, która przynosi szybkie wyniki, a odstręcza od długiego oczekiwania, kłócącego się z porywczym temperamentem. Warunki pracy zagranicą, nie mówiąc już o szczególnych okolicznościach egzystencji uchodźczej, schlebiają przekonaniu, że należy troszczyć się przede wszystkim o potrzeby chwili. Nawet w stosunku do zagadnień najważniejszych zajmuje się oficjalnie postawę, sprowadzającą się do akcji „na krótkiej fali“, co nie pozostaje bez wpływu na atmosferę ogólną naszego życia społecznego.

Jakiekolwiek wyjaśnienie uznamy za słuszne, musi ono zawieść na polu oświaty i kultury. W tej dziedzinie trzeba nieraz czekać długo, zanim posiew przyniesie plony. Pośpiech i doraźna łatanina mogą zrazić wielu życzliwych i przyjaciół. Oświatowcy nie powinni ulegać alarmom, zazwyczaj przedwczesnym i opartym na fałszywych pogłoskach, lecz winni wykonywać swoje zadania w sposób logicznie wynikający z ich istoty i zakroju.

Dlaczego raz jeszcze powracamy do problemu planowania? Kończy się okres wakacyjny i rozpoczyna się normalna, wytężona robota. Nadarza się więc sprzyjająca okazja, aby zamierzenia nasze ująć w system i zastosować w praktyce te wszystkie zalecenia, jakie kojarzą się z akcją planową.

Życzymy powodzenia!

038944
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU
D 2.32/2002

ŚWIETLICA
technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

IRENA KARPIŃSKA

UBIÓR ŁOWICKI

Na zachód od Warszawy, w dolinie Bzury i jej dopływów leży dawne Księstwo Łowickie, które zajmuje większą część powiatu łowickiego i zachodnią skierniewickiego.

Łowicka kultura ludowa od kilkudziesięciu lat wzbudzała zainteresowanie naszych ludoznawców, a ubiór księżacki narzucił się swoją barwnością jako jeden z czołowych i najbardziej popularnych ubiorów mazowieckich. Ubiór łowicki jest dotąd noszony głównie przez kobiety. Mężczyźni używają go już znacznie rzadziej, ale wkładają go na przykład na procesję Bożego Ciała i t.p. W ostatnich czasach ubiór kobiecy redukował się między innymi i ze względów ekonomicznych i kobiety zaczęły wtedy nosić pasiaste, samodziałowe fartuchy przy innych częściach miejskiego ubrania. Oczywiście nie można już wtedy mówić o ubiorze łowickim jako o całości.

Najbarwniejsze samodziały są stosunkowo niedawne. Datują się od chwili, kiedy na rynku pojawiły się farby anilinowe, których jaskrawość zachwyciła Księżaczki do tego stopnia, że zaczęły nimi wyłącznie „krasić", zarzucając dawne sposoby barwienia roślinnego. Zarówno dawne, piękne samodziały, jak i prymitywne kroje sukman oraz prosty sposób zdobienia koszul szarymi lnianymi nićmi i czarną stebnówką należą już do zabytków przeszłości; przechowuje się je w muzeum regionalnym w Łowiczu.

Do niedawna Księżaczki wiernie trwały przy swoim ubiorze, który jest wyrazem ich pracowitości, zamożności i kokieterii. Każda niemal parafia posiada swoiste, odrębne cechy ubrania, które ulegało coraz to nowym modom. Zalotne dziewczęta „wynawiają modę" tworząc coraz nowe odmiany pasiastych fartuchów i gorsetów. Starsze kobiety nie chcą wyzbywać się swego ubrania, które przechowują w skrzyniach na codzień „do chodu", „do Kościoła" i „na śmierć".

KOSZULA ŁOWICKA I JEJ ZDOBIENIE

Koszule łowickie mają powszechny do niedawna krój przyramkowy (tab. II, rys. 2 i rys. 4), pospolity na Mazowszu również i u Kurpiów, a także na Śląsku, gdzie na tej samej zasadzie kraje się bluzka, t.zw. kabotek (tabl. II, rys. 1). Kobieca koszula łowicka składa się z dwóch części: górnej sięgającej prawie do bioder z lepszego, cieńszego płótna i dolnej z gorszego, grubszego (tabl. II, rys. 4). Do tego podstawowego jakby futerału przyszywa się dwa prostokątne przykrywające ramiona przyramki (tabl. II, — część cc1, na rys. 1, 2, 4). Przyramki te oraz przód i tył koszuli przymarszcza się dookoła wykroju szyi, który wykańcza obszewka, kołnierz, albo kryzka zwana w łowickiem „kryzikiem". Kiedyś nie używano guziczków, tylko obdziergiwano po jednej dziurce z każdej strony kołnierza i wiązano tasiemką czerwoną lub bladoróżową. Obecnie sutsze niż dawniej, obszerne rekawy łowickich koszul poszerzają kwadratowe kliny (tabl. II, rys. 1, 2, 4-d) wstawione pod pachami. Zmarszczone górą rękawy łączą się z przyramkami, po zmarszczeniu u dołu są wszywane w Łowickiem i na Kurpiach w szerokie haftowane, obcisłe mankiety, a na Śląsku kobiece koszule wykańcza się krezą. W ostatnich czasach szyją często Księżaczki t.zw. proste rękawy, bez mankietów, obszywane u dołu kupnym haftem.

Koszule męskie bywają w Łowickiem z karczkami, i ze stojącymi kołnierzykami, często haftowanymi i wiązanymi czerwoną wstążeczką. Rękawy zmarszczone u dołu są wszyte zawsze w mankiety.

Po najdawniejszych, lnianymi nićmi robionych wyszyciach zdobiących przyramki i mankiety oraz po czarnym ściegu stebnówki prowadzonej po jednej nitce płótna, pojawiły się kolorowe hafty ściegowe z motywami „miesiaczyków", słoneczek-półkoli „drzewinek". Rys. 8 — tabl. II przedstawia żółte „piłeczki" pomiędzy

dwoma rzędami czarnej stebnówki i drobne czerwone ząbki. Ten rodzaj liniowego zdobienia nosił nazwę polskiego szycia, które na początku pierwszej wojny światowej ustąpiło miejsca krzyżykowemu, t.zw. ruskiemu szyciu (rys. 7 — tabl. 2), bez użycia kanwy, którą zastąpiły nitki płótna. Dzięki temu powstawały motywy krzyżykowe bardzo drobne i delikatne, ponieważ krzyżyki wyszywano na dwóch nitkach cienkiego płótna. W łowickich krzyżykowych haftach przeważał ostatnio, jako ulubiony motyw, wycieniowany kolorystycznie kwiat róży wśród zielonych liści. Tak więc proste, wyraziste ściegi polskiego szycia zamieniły szerokie pasy róż i liści traktowanych naturalistycznie, którymi dziś zdobią kobiece i męskie koszule.

DAWNE I WSPÓŁCZESNE WEŁNIAKI — KIECKI

Wełniane, podłużne pasiaste tkaniny są pospolite na Mazowszu i Podlasiu.

Pasiaste, łowickie tkaniny w formie zbliżonej do obecnej weszły w użycie nie dawniej niż przed 100 laty. Oskar Kolberg nie uwzględnia ich jeszcze w swoich badaniach. W XVIII w. lud w okolicy Łowicza nie używał pasiastych tkanin na ubrania. W połowie XIX w. noszono spódnice i zapaski „bawełnicowe" w drobne biało-czerwone i biało-niebieskie paski. W ostatnim ćwierćwieczu XIX w. używano na gorsety i spódnice samodziałowe tkaniny t.zw. „sorca" — białe, lniane, przetykane czerwoną lub czarną bawełną. Nosiły też dawne Księżaczki jednolite, ciemne modre (granatowe) lub czarne wełniaki, a następnie upodobały sobie t.zw. barwę prostą czyli czerwoną w odcieniu koralowym. Te czerwone samodziały urozmaicały często wąskie, białe prążki nazywane przymilnikami lub podchlebniczkami, najczęściej obramowanymi z dwóch stron czarnymi nitkami dla złagodzenia jaskrawości.

Wełniaki dwubarwne przeistoczyły się z czasem w wielobarwne. Przed pierwszą wojną światową zapanowała barwa pomarańczowa (zwana w Łowickiem „dubeltową") i zastąpiła dawny pięknie roślinnie farbowany koralowy. Ów kolor pomarańczowy (chrom) nazywano nawet w Opoczyńskiem „łowickim"; zaczął on stopniowo przechodzić w coraz jaśniejszy żółto-pomarańczowy, zbliżony do barwy kwiatu nagietka. Pojawiły się szerokie pasy zielone, czarne, wiśniowe, a potem zaczęły wchodzić w użycie różne odcienie: zieleni, niebieskiego, brunatny, fioletowy, żółty, amarantowy oraz cała gama pastelowych kolorów rozbielonych wraz z t.zw. ciałowym (cielistym — nazwa stosowana, zdaje się, pod wpływem pończoch cielistych noszonych w miastach). Rozpowszechniły się często i wyjątkowo brzydkie zastosowania różnych odcieni zgniło-zielonego, amarantowego i niebieskiego.



TABLICA I
Ubiory łowickie: kobiecy i męski

Najdawniejsze spódnice były długie do kostek; potem stopniowo zaczęły się skracać i sięgały do cholewek trzewika, a obecnie widać już pończochy nad trzewikiem. Dawne spódnice i fartuchy były drobno marszczone, a potem układano je w szerokie fałdy. Bardzo zawsze wyraźny był sposób układania spódnic, dzięki któremu przewa-

żał, jako ogólny ton, kolor wierzchnich fałd, a pozostałe kryły się do wewnątrz. W wiejskim ludowym ubiorze kobiecym mają znaczenie spódnice pod spód wdziewane, na których kiecka i fartuch lepiej leżą, jak to jedna z Księżaczek powiedziała: „Dwie haleczki noszę: jedna ma półtora metra, druga cztery metry szerokości; jak się ta szeroka w tańcu rozwinie, to ta wąska wszystko kryje".

Nowsze kiecki są szersze, gęściej tkane i przez to cięższe, więc przyszywają je Łowiczanki do gorsetu, żeby się dobrze trzymały i nie spadały. Ponieważ wełniak musi być jak najbardziej „dęty", szeroki, więc dają go na sztywno wykrochmalonej listwie-podszewce, aby się nie zabrudził po drugiej stronie, bo jak kolory spłowieją, odwracają go i służy dalej. Zarówno kiecki jak i fartuchy ozdobnie naszywają od dołu plecionkami, taśmami, wstążkami a nawet szychem (tabl. I). Dzieci ubierane są tak samo jak dorośli.

FARTUCHY — ZAPASKI

Fartuchy Księżaczek są krótsze od spódnic, a tak obszerne, że obejmują prawie całą osobę.

Zapaski węższe służą jako fartuchy, a większe i jeszcze obficiej sfałdowane zarzucały kobiety niczym peleryny na ramiona. Były one tak szerokie, że mogła się nimi okryć kobieta z dzieckiem na ręku. Są to prostokąty pasiastego, wełnianego samodziału, zmarszczone i wszyte u góry w pasek (tabl. II, rys. 6). Dawniejsze zapaski mają tło pąsowe w drobne różnobarwne paski. Kiedy Łowiczanki zaczęły tkać kiecki z szerokimi pasami, musiały do nich dostosować fartuchy. Na tle zapasek rozmieszczały po cztery, a nawet po pięć szerokich zespołów kolorowych pasów zestawionych koncentrycznie po obu stronach środkowego. Ten szeroki pas składał się zwykle z dwóch szerszych pasków i z drobnych prążków pomiędzy nimi. Szerokie zespoły pasów oddzielały od siebie jednolite płaszczyzny tła, które bywały przetkane wąskimi kolorowymi paseczkami, przedzielanymi w środku nikłymi prążkami, wykonanymi często białą bawełną.

W nowszych zapaskach duże pęki szerszych i węższych prążków, asymetrycznie zestawionych i cieniowanych często od jasnych do ciemnych odcieni, przedzielają pasy tła zielonego, błękitnego lub różowego zamiast dawnego pomarańczowego i żółtego.

Lubią Księżaczki tylko czyste kolory, przyszarzałych nie kupią. Wolą „czyste", jaskrawe barwy anilinowe, niż dawne szlachetne roślinne.

GORSETY — „STONY"

Dawne gorsety szyto z „tackami" dookoła — czyli z płatkami z tego samego materiału co gorsety. Były one podszyte płócienną podszewką na piersiach, sznurowane czerwoną i zieloną tasiemką. Potem nastały gorsety samodziałowe własnoręcznie tkane, zeszyte z pasiaka na poprzek (tabl. II, rys. 5). Po samodziałowych zaczęły Księżaczki nosić gorsety z brokateli, przypominającej materiał ornatów kościelnych, i atłasowe, a po nich zjawiły się „stony" wyszywane wstążeczkami jedwabnymi, z których formowały plastyczne kwiaty georginii, gałęzie z kwiatami i t.p. Następnie zaczęły haftować kwiaty paciorkami na aksamicie, a wreszcie różnokolorowym jedwabiem, albo naszywać aplikacje z innego materiału. Ston łowicki ma jednolite plecy i przód z dwóch części krajany, podszyty jest podszewką płócienną, zapinany na haftki, obcisły i dopasowany, dookoła lamowany tasiemką. Krój gorsetu jest widoczny na rysunku u dołu tabl. I. Przyszyty do spódnicy, tworzy z nią jedną całość. Noszą też i osobne gorsety. Na scenę do łowickiego wełniaka można zastosować czarny, gładki, aksamitny gorset, w którym konstrukcję można (niekoniecznie) podkreślić tą samą kolorową tasiemką, którą ston jest oblamowany dookoła. Można też zrobić gorset w poprzeczne paski kolorystycznie zharmonizowany ze spódnicą i fartuchem. W niektórych inscenizacjach, o ile trzeba zaznaczyć ubiorem starszy wiek kobiety, można ją odziać w czarny, krótki sukienny kaftanik z rękawami lub też t. zw. w Łowickim „spencer". Zimowe „tołubki", „angiery" lub „sukienki" (żupaniki — sukienne szuby zimowe) zastąpiły duże fabryczne chusty, dawniej „tureckie", a obecnie kraciaste i mniejsze wełniane, t.zw. szalinówki.

CHUSTKI

Niezbędną częścią stroju łowickiego są jedwabne chustki, przy czym młode dziewczęta lubują się w jasnych kolorach: białych, kremowych i różowych; zwykle harmonizują chustki z ogólnym kolorytem ubioru. Kobiety wiązały dawniej chustki rozmaicie okręcając dwa razy dookoła i zawiązując nad czołem „na supeł"; na karku przywiązywały dwa rogi, trzeci puszczały wolno na plecy, czasem zaś okręcały głowy chustkami dwa razy i wiązały jakby turbany, kryjąc pod nie końce chustek i włosy. Obecnie wiążą dziewczęta chustki pod brodę lub też zawiązują do tyłu, na czubku głowy, odsłaniając włosy i warkocze.

Kilka sznurków czerwonych korali jest koniecznym uzupełnieniem ubioru.

POŃCZOCHY I TRZEWIKI

Pończochy miały dawniej duże znaczenie w ubraniu Księżaczek. W XIX w. nosiły białe i czerwone bawełniane, a potem pojawiły się robione na drutach w najróżniejsze desenie, przeważnie kwiatowe. W parafii złakowskiej, gdzie strojnisie księżackie lubiły coraz to coś innego „wymodzić", powstały pończochy bez stopy, jakby aksamitne czarne cholewki zapinane na zatrzaski i haftowane kolorowymi jedwabiami. Powstał też haft paciorkowy; Złakowianki stosowały go nietylko do gorsetów, ale i do pończoch, w których nawlekały najczęściej białe paciorki na wełnianą przędzę kolorową i wrabiały ją na drutach. Znamienne, że deseniowe pończochy pojawiły się z chwilą, kiedy dziewczęta w tej parafii zaczęły nosić krótsze wełniaki.

Dawne trzewiki były to półbuty z grubej skóry na drewnianym obcasie średniej wysokości, związywane czerwoną, wełnianą tasiemką. Przed drugą wojną światową zaczęły Księżaczki nosić brązowe trzewiki sznurowane białą tasiemką, a obecnie coraz częściej kupują pantofle na wysokich obcasach.

O ile do ubioru łowickiego na scenie nie da się zastosować brązowych trzewików sznurowanych białą tasiemką, trzeba koniecznie zwrócić uwagę na fason pantofli wkładanych do tańca, który powinien być jak najprostszy i możliwie najmniej modny; pończochy powinny być jasne, dość grube i matowe (nie nylony!), bo to nie pasuje do całości sylwetki Księżaczki w grubym samodziale. nawet wtedy, kiedy jest on z konieczności wykonany w materiale zastępczym.

WIENIEC ŚLUBNY

O ile inscenizuje się jakiś fragment wesela łowickiego (np. z „Chłopów" Reymonta), to może się okazać potrzebny wieniec weselny. Panny młode widywane w kościele kolegiackim w Łowiczu nosiły wieńce w rodzaju przedstawionego na tabl. II, rys. 3. Połowę włosów panny młodej rozpuszczano na plecy, a z drugiej pleciono drobne warkoczyki, do których przyszywano ciężki wieniec wykonany w następujący sposób: białą, kwiecistą wstęgę księżacką układano w „rurki" dookoła głowy panny młodej. Z tej rurkowatej opaski wstęgowej wychodzą jakby trzy gałęzie (trzy druty — wysokie na 12 cali) udekorowane sztucznymi kwiatami, zwykle różami, błyszczącymi kulkami szklanymi i złotym sztychem. Gałęzie te mocuje się w środku głowy, którą otaczają drobnymi kwiatami, a z tyłu przypina się sześć szerokich wstęg długości wełniaka.

UBIÓR MĘSKI

W ubiorze męskim Księżaków zarysowuje się różnica pomiędzy „Górnym Księstwem", a „Dolnym — kwardym, rdzennym Księstwem" — położonym niżej w stosunku do Górnego, gdzie noszą odmienne ubiory, co wyrażało się w kształcie kołnierza, wyłogów, obszyciu, zapięciu i t.d.

SPODNIE

Księżacy nosili dawniej spodnie płócienne farbowane w domu na czarno lub wiśniowo. We wsiach północno-zachodnich „rdzennego Księstwa" nosili spodnie pasiaste, samodziałowe, kiedyś ciemno czerwone, potem jaśniejsze czerwone i ciemno pomarańczowe w wąskie paski czerwone, a w końcu jaśniejsze pomarańczowe w pasy ciemno zielone, czarne i wiśniowe. Spodnie księżackie miały klapę z przodu zwaną „fartuszkiem" i dwie kieszenie po bokach.

W zimie wkładali spodnie z baraniego kożucha. W północno-zachodnim „Górnym Księstwie" były w użyciu ciemne spodnie i sukmana albo kapota z czarnego sukna.

SUKMANA

„Sukmana prosta" biała była szyta „do parady" z kupnego sukna. Była ona lekko wcięta w pasie i zapinana na haftki. Szwy sukmany łączące przody z plecami zdobi lamówka z czarnego sukna, którą jest również obszyty z przodu brzeg sukmany. Niski stojący kołnierz, wyłogi pod szyją i mankiety rękawów podszywane czerwonym suknem. Sukmana sięgała znacznie za kolana.

Dawniej nosili też Księżacy sukmany ciemno granatowe i siwe (niebieskawo-zielonawe), tego kroju, co białe, obszyte tasiemkami czarnymi lub zielonymi.

Młodzież sukmanę zarzuca, a raczej zachowuje spencery i kamizele.

LEJBIK — KAMIZELKA

Lejbik jest to rodzaj kamizelki krótkiej, z granatowego lub czarnego sukna, z kieszeniami u boków, zaopatrzonymi w klapki zapinane na żółte, blaszane „guzy". Lejbik kraje się podobnie jak kamizelkę: plecy i dwa przody. Lejbik jest

naszyte czerwonym sznurkiem dokoła kołnierza, kieszeni, wzdłuż przodu; obszywano też czerwonym sznureczkem dziurki na guziki. Pod lejbiki wkładali Księżacy czerwone, barchanowe kamizele.

SPENCER — KAMIZELKA Z RĘKAWAMI

Spencer nazywany w Łowickiem „spancerem" — jest to lejbik z rękawami. W „Górnym Księstwie" noszono jeszcze krótkie, czarne, sukienne do pasa spencerki z wykładanym kołnierzem i z klapkami, przybrany czarną tasiemką i czarnymi guzikami. Młodzież w „Dolnym Księstwie" chętnie nosiła czarne kapoty dopasowane w pasie z wykładanym kołnierzem, spod którego było widać kołnierz i haftowany podkoszulek.

Ubiór księżacki uzupełniały barwne pasy tkane na domowych warsztatach, którymi przepasywali białe sukmany lub wiązali je czasem na spencerze. Pasy były przeważnie barwy pasiaka.

Krawcy żydowscy obszywali gospodarzy łowickich i ich rodziny szyjąc kapoty, spencerki, kamizelki i sukmany.

Ulubione ubranie starszego Księżaka stanowił kożuch z żółtej lub brązowej skóry, obszyty baranem.

NAKRYCIE GŁOWY

Najdawniejsze i powszechnie noszone w całej Polsce były kapelusze słomiane z szerokimi rondami, używane zawsze w lecie także i w Łowickiem.

Dawno już zaginęły dość wysokie stożkowate kapelusze filcowe z małym rondem, t.zw. „świnioryjki". W rdzennym „Księstwie" noszono do niedawna kapelusze średnio wysokie, trochę zwężające się ku górze z małym płaskim rondem ubrane szychem zamiast dawnej czarnej eksamitki i kolorowych sznurków. Kawalerowie stroili kapelusze bogatym, kolorowym przybraniem z szychu, łańcuszków, rozciągliwych plecionych drucików i różnobarwnych szpilek.

W zimie Księżak okrywał głowę niską, sukienną granatową konfederatką, rogatywką, obłożoną czarnym lub siwym barankiem.

BUTY

Buty nosili przeważnie fałdowane z cholewami odwijanymi. Formowali je w sposób następujący: długą cholewę butów moczyli wodą, wkładali mocno związany pęk słomy i fałdowali przewiązując każdą fałdę sznurkiem. Po zaschnięciu rozwiązywali i wyciągali słomę. Zawijali 3/4 cholewy, a 1/4 u dołu marszczyli w fałdy.

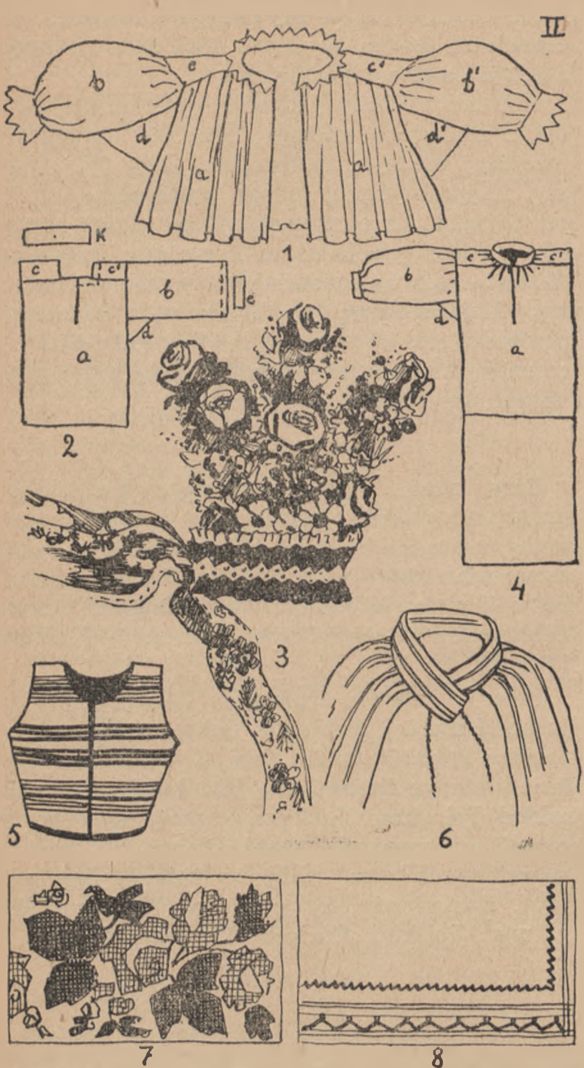
Tablica I przedstawia Łowiczanina z rdzennego Księstwa w spencerze, lejbiku, pasiastych spodniach, sfałdowanych butach; u dołu widać Księżaka w samym lejbiku, w którym również można wystąpić do tańca.

MATERIAŁY I CZĘŚCI ZASTĘPCZE PRZY STOSOWANIU UBIORÓW ŁOWICKICH DO UŻYTKU TEATRALNEGO

O ile nie ma możliwości wiernego wykonania ubiorów łowickich, trzeba je zrobić dostępnymi sposobami, przy czym jedną z najważniejszych trudności stanowi dobra transpozycja pasiaka na materiał zastępczy z zachowaniem dobrego kolorytu i właściwego rytmu w doborze i zestawieniu pasków.

KOSZULE

Jeśli istnieje stały zespół taneczny, najlepiej, żeby każdy uczestnik miał odpowiednią, właściwie uszytą koszulę przyramkową, o ile używają ubiorów łowickich lub kurpiowskich. Można też, mając podstawowy jakby futerał w rodzaju białej, perkalikowej luźnej tuniki bez rękawów, uzupełniać go w miarę potrzeby doszywając długie rękawy koszuli łowickiej czy kurpiowskiej lub bufiaste, krótkie rękawy i kryzkę śląskiego kabotka (przyramek będzie wtedy oczywiście naśladowany tylko i przyszyty po wierzchu na ramieniu). Odpowiedni rodzaj haftu („szycie polskie" lub czerwone koła i półkola kurpiowskie) powinien podkreślić przyramki, kołnierz i mankiety. Przez użycie stojącego kołnierzyka i rękawów z mankietami można przekształcić także tunikę i w męską koszulę. W miarę potrzeby można po prostu zwykłą, fabryczną białą koszulę męską podwiązać przy szyi czerwoną wstążeczką i zrezygnować ze zdobienia, o ile nie stać nas na dobre zachowanie jego charakteru. Ponieważ w ubiorze łowickim ston jest przyszyty do spódnicy, można w tym wypadku doszyć rękawy do gorsetu i osobno krezkę, choć niewątpliwie lepiej wygląda całkowita koszula włożona pod gorsecik. O ile nie zaznaczy się rodzaju haftu choćby bardzo prostym wyszyciem, można ostatecznie namalować je osobno na wstawkach, które mogą być doszyte jako naramiączka, na mankietach i kołnierzu; oczywiście przy każdorazowym praniu koszuli trzeba je odpruć, żeby nie zafarbowały. Ogromnie ważne jest to, aby rękawy były zawsze śnieżnej białości i dobrze nakrochmalone.



TABLICA II. Fragmenty łowickich ubiorów

1. Krój kabotka — koszulki śląskiej.
2. Krój koszuli przyramkowej:
a — stan
b — rękaw
c, c1 — przyramki
d, d1 — kliny
e — mankiet
k — kołnierz
3. Kolegiacki wieniec ślubny.
4. Krój koszuli przyramkowej.
5. Samodziałowy gorset „stan“.
6. Fartuch — zapaska.
7. Ruskie szycie.
8. Dawne „polskie szycie“.

SAMODZIAŁ NA WEŁNIAKI PASIASTE

Samodział na kiecki, fartuchy, gorsecik (o ile nie chce się czarnego) i spodnie męskie może być naśladowany przy pomocy różnych technik: naszycia, naklejania lub malowania pasów. A więc na tle koralowej lub pomarańczowej flaneli albo najtańszego gatunku cienkiego sukna mogą być naszyte pasy w dwóch, a najwyżej w trzech kolorach z tego samego materiału. Zdarza się czasem spotkać wśród cieńszych tkanin używanych na pokrycia leżaków i sprzętów ogrodowych jakieś dobre, pasiaste materiały, z których można wyciąć stosowny zespół pasów np. ciemno zielonych, fioletowych, czarnych i żółtych, które można przyszyć albo nakleić na pożądane pomarańczowe tło. Można też odpowiednio namalować pasy klejowymi farbami, na tle z białego, sztywnego, używanego przez krawców muślinu, t.zw. merli. Na doraźny użytek na jakimś obozie można nakleić albo naszyć pasy z papieru lub z materiału np. na płótnie workowym, albo na zwykłych ciemnych spodniach. Warto pamiętać, że zapaska jako pelerynka stanowi dobry szczegół dekoracyjny, który może być z powodzeniem wyzyskany. Przygotowując samodział na spódnicę, trzeba pamiętać o odpowiednim zestrojeniu go z fartuchem, zapaską-pelerynką i gorsetem. Do wzmiankowanej powyżej pomarańczowej spódnicy można na przykład zastosować fartuch o ciemnym kolorowym tle w szerokie pasy złożone z szerszych ciemno granatowych i wąskich: żółtych, czarnych, wiśniowych i białych. Ażeby sporządzony w ten sposób pasiak był odpowiednio „dęty“, trzeba go usztywnić od spodu merlą lub nakrochmalonym mocno płótnem, albo innym materiałem.

Ponieważ jaskrawe barwy stanowią tak bardzo charakterystyczną cechę pasiaków łowickich, trzeba o tym pamiętać zestawiając kolory do użytku teatralnego. Należy unikać jako tła barwy różowej, błękitnej i zielonej, a zawsze lepiej się posługiwać wyłącznie dawnym tłem: żółtym i pomarańczowym.

Kolor chustki na głowę ma znaczenie nie tylko w związku z danym ubiorem, ale i z całą kompozycją kolorystyczną zespołu ubiorów, o czym zawsze trzeba pamiętać mając na uwadze barwną grupę taneczną.

KORALE

Nieodzowne sznury prawdziwych korali zastąpi z powodzeniem dobrze dobrany pod względem kształtu gatunek makaronu, pomalowany błyszczącym, szybko schnącym czerwonym lakie-

rem lub nawet ostatecznie olejną farbą, a najlepiej farbami używanymi do malowania na szkle. Korale z makaronu nanizane na pięć lub sześć sznurków, stopniowo zwiększających się od szyi ku dołowi, ozdobią w sposób charakterystyczny przód koszuli i gorset.

UWAGI NA TEMAT UBRANIA KSIĘŻAKA

Jeśli są duże trudności z szyciem całkowitego stroju Księżaka, to trzeba poprzestać na umiejętnym uzupełnieniu posiadanych części ubrania.

Najbardziej byłoby pożądane, żeby jednak uszyć spencerki i lejbik, albo przynajmniej lejbik, który jest prosty w kroju i nie wymaga dużo materiału.

Na spodnie trzeba naszyć pomarańczowe pasy w wąskie paski czerwone (spodnie mogą też być jednolicie ciemne), jako lejbik może służyć od biedy zwykła ciemna kamizelka (o ile jest niezbyt krótka, lub jeśli można plecy naszyć odpowiednio ciemnym materiałem i umiejętnie nadsztukować przód), z przodu ozdobiona rzędem błyszczących guzików i dwoma kieszeniami. Można też spróbować przekształcić kamizelkę w ciemny, krótki spencerek z Górnego Księstwa, doszywając ciemne rękawy, kołnierz wykładany, klapki i czarne guziki. W braku skórzanych butów spodnie winny być wciągnięte w długie buty gumowe, które są łatwiej dostępne.

Można też ciemną, długą bluzę uzupełnioną błyszczącymi guzikami przepasać pasem-krajką, wiązanym na boku. Pas ten mogą zastąpić niektóre rodzaje pasów używanych do robót tapicerskich i można je często znaleźć w sklepach z przyborami z tego zakresu.

Kapelusz można wykonać na jednorazowy użytek z matowego, czarnego kartonu lub tektury oklejonej czarnym materiałem, żeby był trwalszy. Najpraktyczniej jednak postarać się o stare, o ile się da ciemne, kapelusze, które można odpowiednio przefasonować, nadając pożądany kształt, i dla ujednostajnienia pomalować matową, klejową farbą (nie błyszczącym lakierem), przepasać ciemną wstążką, a w jej braku paskiem czarnego kretonu, albo bibułki (krepiny) i przewiązać kolorowymi sznureczkami.

—x—

Przy opisie ubioru łowickiego korzystałam przede wszystkim z wiadomości i zdjęć zawartych w książkach Anieli Chmielińskiej: „Księżacy i ich strój“ (wyd. Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie, 1930 r.) oraz „Księżacy“ (wyd. Biblioteczki Geograficznej „Orbis“, Kraków, 1925 r.).

Przerys kabotka śląskiego (tabl. II, rys. I) pochodzi z pracy Agnieszki Dobrowolskiej: Strój Jacków Jabłonkowskich (str. 3 — Prace i materiały etnograficzne“, tom VII, Lublin, 1948/49, nakład Pol. Tow. Ludoznawczego), a schematy koszuli przyramkowej (tabl. II, rys. 2 i rys. 4) są wzięte z I tomu „Kultury ludowej Słowian“ prof. Kazimierza Moszyńskiego (Kraków, 1929 r., wyd. Polskiej Akademii Umiejętności).

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

UBIORY W DAWNEJ POLSCE

Gdyby uwierzyć satyrykom i moralistom naszym, gdyby dosłownie wziąć np. dowcipne powiedzenie Reja, że „w postronnych krajach, gdzie się trafi każdy naród malować, tedy Polaka nago malują a z nożycami, a postaw sukna przed nim: i krajże sobie, jako raczysz“ — trzeba by przypuścić, że nigdy nie mieliśmy narodowego stroju; a przecież Polska obok Węgier jest jedynym krajem w Europie, gdzie nie sam tylko lud, jak gdzie indziej, ale i wyższe warstwy społeczne posiadają tradycyjny, czasem i zwyczajem uświęcony kostium narodowy. Straciły go pobratymcze nam narody słowiańskie, straciły np. Czechy, straciła tyle późniejsza od nas w niwelacyjnym rozwoju cywilizacji Rosja, gdzie tylko lud go zachował, — w Polsce utrzymał się jako strój uroczysty i reprezentacyjny.

W dziedzinie mody i jej ekscentrycznych objawów Polska nie była wyjątkiem w każdoczesnej Europie, a jej kostiumowy obyczaj ulegał tym samym wpływom i warunkom, co w innych krajach. Działały u nas tak samo jak gdzie indziej najpierw położenie geograficzne, dalej wrodzona wszystkim narodom zmienność smaku, czyli moda, potem skłonność do naśladownictwa, w końcu stan dobrobytu i kultury. Klimat polski wymagał ubiorów ciepłych, — stąd przestronność, fałdzistość i długość kroju szat wierzchnich, jak delie..., burki, opończe..., stąd także potrzeba, a w dalszej konsekwencji zamiłowanie i zbytek w futrach najrozmaitszego rodzaju i pochodzenia, od barana do sobola.

Położenie geograficzne dało nam za sąsiada państwo ottomańskie z całą jego potęgą wojskową i z

całym bogactwem form zewnętrznych, przemawiających do imaginacji swoją malowniczą świetnością, zrobiło nadto z Polski pośredniczkę komunikacyjną i handlową między Wschodem a niektórymi krajami Zachodu. Stąd ów silny i przemagający pierwiastek wschodni w ubiorze i obyczaju polskim. Bliskie sąsiedztwo Niemiec i fakt, że wszystkie nasze wielkie miasta pierwotne prawie na wskroś, do pierwszych zaś dziesiątek lat XVI w. jeszcze przeważnie były niemieckie, zaznaczyły się bardzo stanowczym, może najprzeważniejszym nawet wpływem na polską kulturę, a znowu niższość tej rodzimej kultury bardziej sprzyjała naśladownictwu. Dodajmy do tego wielką przyrodzoną już pochopność natury polskiej do naśladownictwa, jej wyjątkową łatwość przyswajania sobie wszystkich zewnętrznych form choćby najbardziej skomplikowanej cywilizacji wraz z tym, co w niej bywa nadmiarem i wybrykiem, dodajmy lekkomyślniejsze i naiwniejsze może niż gdzie indziej lubowanie się w świetności i zbytku, a zrozumiemy łatwo, jak się tworzyła różnymi warstwami czasów i wpływów ta naleciałość cudzoziemska, na pozór tak gruba, że znikać się pod nią zdawała wszelka pierwotność rodowita, że w tak bogatym słowniku ubiorów i splendorów polskich, w tej istnej powodzi nazw tureckich, niemieckich, włoskich, węgierskich nazwa polska należy do rzadkości.

A przecież ta cała cudzoziemska powłoka niezawsze zrasta się z polskim obyczajem organicznie, nie wyklucza jeszcze całkowicie pewnej niezawisłej, swojskiej oryginalności. Ten poliglotyzm w nazwach ubiorów niezawsze odpowiadał rzeczy. Jedna i ta sama nazwa oznaczała co innego w Turcji, na Węgrzech lub w Niemczech, a co innego w Polsce. Strój „czerkieski" np., o którym tak często spotykamy wzmianki, nie miał w sobie nic zgoła czerkieskiego, — powstał on, jak świadczy Pasek, z potrzeby żołnierskiej ubierania się kuso i używania wysokich butów jeździeckich. Kontusz polski był czymś zupełnie innym niż kontusz turecki lub tatarski; dołoman polski różnił się od dołomana węgierskiego; hazuka polska nie jest wcale identyczna z niemiecką Hassücke lub z francuską casaque, od których zapożyczyła nazwy; to samo da się powiedzieć o delii, o szubie, o bekieszy i t.p. Nazwa ta sama, rzecz inna, tak że budzi się nieraz wrażenie, jakoby nie rzecz samą brano od obcych, ale nazwę do rzeczy.

Kto robił modę w Polsce? Król, magnat, student i żołnierz. Dwór, jak wszędzie i zawsze, był wzorem wykwintnego obyczaju i stroju, on też był pierwszym rozsadnikiem cudzoziemczyzny w Polsce. Z dworem Bony weszły w modę kostiumy włoskie; Rakuszanki poślubione naszym królom wprowadziły w bliższych dworowi warstwach szlacheckich protegowane na dworze wiedeńskim tradycyjnie od czasów Karola V stroje hiszpańskie; Wazowie dali początek modzie szwedzkiej, dwie Francuzki na tronie dostarczyły modeli paryskich; Sasi i Stanisław August zaznaczają przewrót w ubiorach i inaugurują porę polskiego rococo, po części w niemieckiej, przeważnie we francuskiej stylizacji. Magnat nie tylko modeluje się na każdoczesny wzór monarszego dworu, ale on pierwszy odbywa podróże i legacje do stolic i dworów europejskich i wraca ubrany po niemiecku, po włosku, po hiszpańsku. Student polski powraca z Padwy, Bolonii, Rzymu i przywozi z sobą nie tylko biret i togę doktorską, ale już i po ulicy „chodzi po włosku", pociągając przykładem swoim wszystkich, co mają trochę pretensji do nauk i sztuk wyzwolonych. Żołnierz wraca z każdej wyprawy wojennej, z każdego obozu z jakąś uderzającą nowością w stroju i przewraca głowę wszystkiej młodzieży, — rzec można, że całej szlachcie średnio zamożnej żołnierz dyktuje modę „A strojów takowych wszystka ansa i powód z junaków wojskowych; i nie masz, żeby z tego kraju, gdzie wojuje, nowego nie wniósł obyczaju" — rymuje Andrzej Rysiński około 1640 r. Potwierdza to i Starowolski, a Pasek, sam żołnierz, z własnego doświadczenia mówi: „Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, czapkach, w butach, szablach, w rządzikach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w gestach, w stąpaniu i witaniu, o Boże! nie spisałby tego na dziesięciu skórach wołowych".

I rzeczywiście, nie tylko o stroju, ale i o fryzurze decydował najczęściej żołnierz, zwłaszcza jeśli zasłynął szeroko w swoim rzemiośle. Głośny z waleczności i rozpasanej fantazji strażnik koronny Samuel Łaszcz, kiedy wpadł na koncept podstrzyżenia sobie włosów wysoko i jakby czubato, zaraz znalazł naśladowców w całej Polsce. „Pierwszy strzyżenia wysoko czupryny wynalazca" — mówi o nim w swoim herbarzu Niesiecki. Łaszcz nie był jednak „wynalazcą" samejże czupryny, tylko reformatorem jej kształtu i rozmiaru; już dawno przed nim chadzali nie tylko wojskowi Polacy czubato, a nuncjusz kardynał Valenti (1604), opisując postać kanclerza Zamoyskiego, wspomina o jego okazałej czuprynie (capelli canuti col zuffo alla Polacca): Decjusz w swojej historii czasów Zygmunta I, a za nim Stryjkowski i poeta Janicki utrzymują, że za przykładem żołnierskim po wojnie z hospodarem wołoskim Bogdanem, a mianowicie po walnym zwycięstwie nad Tatarami pod Łopuszną w r. 1512 Polacy strój swój radykalnie zmienili, zarzucając długie, ciasne szaty i długie w kędziory zawijane lub w warkocze splecione włosy. Później zaczęto podgalać głowę dokoła, zwyczaj, który już za bytności Lipomana w Polsce (1575) był nienowy, ale jeszcze nieustalony, skoro rymopis Stanisław Witkowski uważa go jeszcze w r. 1605 za nowatorstwo, ganiąc „łby wygolone", których pradziady nie znały. Około połowy XVII wieku golone głowy z czubem były już regułą szlacheckopolskiej elegancji — „ils ont sous leur bonnet fourré la tête rasée et na conservant de cheveux qu'un petit toupet sur le haut de la tête",*)

*) Pod futrzaną czapką mają ogoloną głowę i z włosów zrobiony tylko mały czub na szczycie głowy.

mówi o członkach legacji polskiej na paryskim dworze w roku 1645 pani de Moteville.

Wojny za panowania Zygmunta III wpłynęły bardzo na współczesną modę polską; Starowolski powiada, że za przykładem żołnierzy w pierwszych dziesięciu latach jego rządów trzy razy zmieniał się krój szlacheckich ubiorów. Zaznaczyły się pod tym względem wybitnie wojny szwedzkie, dalekie wyprawy Lisowczyków na zachód Europy, kampania Czarnieckiego. Do ważnej roli, jaką odgrywa szlachcic żołnierz w historii kostiumowej, przyczyniać się musiała okoliczność, że po magnacie przez pewien czas on był jedynym peregrynatem, jedynym bywalcem par excellence, a to nie tylko pod własną, ale i pod obcą chorągwią, wiadomo bowiem, jak często i chętnie zaciągała się szlachta, zwłaszcza uboższa, w służbę cudzoziemską, a to głównie rakuską. Fakt to zresztą stwierdzony, że jak stosunki pokojowe i handlowe, tak same i wojny zbliżają do siebie narody i są dobrym przewodnikiem obustronnych wpływów; świadczy u nas o tym wpływ Wschodu na ubiór i obyczaj, który w czasach pokoju podtrzymywany głównie przez Ormian polskich, podsycał się każdoczesną wojną z Turcją, jak tego najpóźniejszy i już ostatni objaw spotykamy w czasach Jana III...

Jednym z takich głównych znamion czasów jest fakt, że w dawnej Polsce, jak zresztą do pewnego stopnia i w innych krajach, aż po koniec XVIII w. kaprysy i ekscentryczności mody, kosztowność i wzorzystość tkanin malownicza rozmaitość i żywość kolorów, błyskotliwość ozdób i obfitość klejnotów nie są kostiumową cechą i przywilejem samej tylko kobiety, ale w równej mierze panują w strojach męskich. Nie ma pod tym względem różnicy między mężczyzną a kobietą, odnosi się nawet wrażenie z niejednego inwentarza garderoby męskiej, zwłaszcza z pierwszej połowy XVII wieku, jakoby próżność i zamiłowanie zbytku u mężczyzn były większe niż u kobiet, bo przybywa mężczyźnie dalszy powód do zbytku, obcy kobiecie, a mianowicie broń, która... przybiera cechę czysto dekoracyjną: z oręża staje się strojem. Czytając nadzwyczaj szczegółowy opis przepysznych strojów legacji polskiej, przybywającej do Paryża po Marię Ludwikę, odbiera się wrażenie niepojętej nam dzisiaj próżności męskiej — opis ten nie ustępuje w niczym dzisiejszym pobalowym sprawozdaniom z toalet damskich, zamieszczanym w żurnalach poświęconych elegancjom mody. Te same futra, te same jedwabie i złotogłowia, te same złote ozdoby i tę samą obfitość klejnotów spotykamy u mężczyzn co u kobiet.

WITOLD CZERWIŃSKI

SZOPEN - AMBASADOR POLSKI

Mało mówi się na świecie o Polsce. Zdawałoby się, że nasi wczorajsi sojusznicy i nasi odwieczni wrogowie zaprzysięgli konspirację milczenia. Głęboka cisza otacza tragedię narodu, który tak jeszcze niedawno był „natchnieniem świata". Z rzadka tylko przerywają tę ciszę wydarzenia, które przemawiają do wyobrażeń ludzi obcych. Imię Polski zjawia się wtedy na krótko, jak bolesne przypomnienie, wyrzut i przestroga.

Taką chwilę osobliwą przeżyliśmy w jesieni 1949 r., w setną rocznicę śmierci Szopena. Przekonaliśmy się wtedy, jak wielka jest władza tego genialnego Polaka, który w sto lat po śmierci tak umie zestrajać dusze milionów ludzi. Cały świat, tak dzisiaj tragicznie rozdarty, zjednoczył się na chwilę w hołdzie Szopenowi. Można bez przesady powiedzieć, że atmosfera globu ziemskiego rozśpiewała się melodiami Szopena. *„L'âme de la musique a passé sur le monde"*)*.

W. Brytania pięknie uczciła tę drogą nam rocznicę. Przez kilka tygodni w programach radiowych pełno było Szopena. We wszystkich większych miastach urządzono dziesiątki koncertów w wykonaniu najlepszych pianistów. Prasa brytyjska, tak w sprawach naszych powściągliwa i chłodna, poświęciła rocznicy szopenowskiej szereg świetnych artykułów.

THREE GREAT POLES

Londyński *Times*, mający na swym dziennikarskim sumieniu wiele ciężkich grzechów wobec Polski, ogłosił w swym dodatku literackim *The Times Litterary Supplement* z 14. X. 1949 r. artykuł poważny i wnikliwy.

„Trzej wielcy Polacy — pisał — ujarzmili wyobraźnię świata. W dobie Odrodzenia Kopernik zrewolucjonizował naukę astronomii. W wieku siedemnastym Jan Sobieski odmienił bieg dziejów Europy, oddalając ostatecznie niebezpieczeństwo najazdu tureckiego. Przed stu laty Fryderyk Szopen otworzył nową erę . . . w historii muzyki.

„Spośród tych trzech (wielkich Polaków) jeden Szopen osiągnął nieśmiertelność całkowicie

*) Schumann — na wiadomość o śmierci Szopena.

osobistą, zdobywając imię, które stało się prawie synonimem Polski . . .“.

W tych słowach zawiera się głęboka prawda. Dla nas i dla świata muzyka Szopena stała się synonimem polskości. Ta nieśmiertelna polskość, zaklęta w muzyce Szopena, przemówiła tak potężnie, że świat ukorzył się przed jej wielką mocą. Dzień setnej rocznicy śmierci Szopena był dniem zwycięstwa Polski, może pierwszego prawdziwego zwycięstwa od czasu bitwy o Monte Cassino.

NIEROZERWALNE ZWIĄZKI

Szopen jest nierozerwalnie związany z Polską przez swe urodzenie i wychowanie, przez swój płomienny patriotyzm i przez bardzo polski charakter swego geniuszu, który jego miłość dla kraju zaklął w formy doskonałe i wieczne.

Urodził się z matki Polki: Justyny Krzyżanowskiej. Przez całe życie zachował dla niej najgłębszą miłość synowską. Do niej wołał półprzytomnie w ostatnich przedzgonnych godzinach.

Ojciec Szopena, choć Francuz, prawie całe życie spędził w Polsce. Urodzony w Marainville w Lotaryngii, którą mądrze i sprawiedliwie rządził król-filozof Stanisław Leszczyński, pan Mikołaj w siedemnastym roku życia dobrowolnie wyemigrował do Polski. Rzuciła na niego urok przybrana ojczyzna. Szczerze przywiązał się do niej. Przeżył w Warszawie uniesienie patriotyczne, które ogarnęło w 1791 r. ludność stolicy na wieść o uchwaleniu przez Sejm Czteroletni Konstytucji Majowej. A kiedy w trzy lata później naród powstał do walki z najazdem moskiewskim, pan Mikołaj zaciągnął się pod sztandary Kościuszki. W służbie milicji obywatelskiej zdobył szlify oficerskie. Stał się Polakiem z wolnego wyboru. Nigdy już później do Francji nie wrócił.

Szopen urodził się w Żelazowej Woli w samym sercu ziemi Mazowieckiej. Podobno w chwili jego urodzin (22. 2. 1810 r.) pod oknami domu dziarsko przygrywała wiejska kapela. Trudno nam dzisiaj dociec, czy tak było na prawdę. Sam fakt ma jednak dla nas głęboką wymowę. Wiemy przecież, że muzyka ludowa już w dzieciństwie urzekała Szopena. Pod jej urokiem żył i tworzył do ostatnich chwil życia. Na parę miesięcy przed śmiercią drżącą ręką pisał ostatniego mazurka (Opus 68), w którym po raz ostatni wyraził swą nienasyconą tęsknotę za krajem.

Atmosfera domu, w którym się wychowywał, była szczerze polska i serdecznie rodzinna. Polskie tradycje i obyczaje przemawiały silnie do wrażliwej duszy dziecka. Kiedyś, po latach pobytu na obczyźnie, niezepsuty zdobytą sławą i tak bardzo polski wśród obcych ludzi, wspominać będzie nastrój wieczerzy wigilijnej. Przecudna melodia kolędy: „Lulajże Jezuniu“, którą usłyszał w dzieciństwie, odezwie się kiedyś w jednym z najbardziej natchnionych utworów: Scherzo H-mol (napisanym w Wiedniu w okresie powstania listopadowego).

Był niezwykle wrażliwy na piękno przyrody. Chłonął w siebie motywy muzyczne krajobrazu mazowieckiego. Czuł wieś polską i wsłuchiwał się w jej głosy. Utrwalał je w swej genialnej pamięci jak na najczulszej płycie. Notował zasłyszane melodie ludowe i zapisywał słowa piosenek. Te niezapomniane motywy, przeobrażone w nowe harmonie, będą się snuły później w jego utworach.

W listach Szopena z tego okresu rysuje się wzruszający obraz wsi polskiej, jaki wyniósł z kraju i do śmierci w duszy zachował.

Młody Szopen żyje pełnią życia kulturalnego i artystycznego ówczesnej Warszawy. Po ukończeniu Liceum zapisuje się do Konserwatorium, które prowadzi wybitny pedagog i bardzo dla muzyki polskiej zasłużony kompozytor, Józef Elsner, autor kilku oper historycznych. Jednocześnie słucha wykładów z historii i literatury polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Wykłady Brodzińskiego podsycają w nim jeszcze zamiłowanie do sztuki ludowej.

Dojrzewał szybko w gorącej atmosferze patriotycznej stolicy. Żywy, inteligentny, wrażliwy na wszystko, co polskie, obracał się w środowisku młodzieży, która w pamiętny wieczór listopadowy rozpalić miała pożar rewolucji narodowej. Znał wielu aktorów tego dramatu, który tak ciężko zaważył na losach jego pokolenia. Przyjaźnił się z Maurycym Mochnackim, świetnym pisarzem i krytykiem, który pierwszy bodaj odkrył w nim geniusz muzyczny. Bywał w domu generała Sowińskiego, weterana wojen napoleońskich, który w pamiętnych dniach oblężenia Warszawy (6—8 września 1831 r.) miał zdobyć chwałę bohaterskiej śmierci na szańcach Woli.

Ciężko było Szopenowi opuszczać Warszawę. Ociągał się i marudził. Odkładał datę wyjazdu. Niedobre przeczucie mówiło mu, że wyjeżdża na zawsze. W liście z dnia 4. IX. 30 r. zwierzał się z tych przeczuć przyjacielowi, Tytusowi Wojciechowskiemu.

„Myślę — pisał — że wyjeżdżam po to, żebym na zawsze zapomniał o domu; myślę, że jadę umrzeć, a jak to przykro musi być umierać gdzie indziej, niż tam, gdzie się żyło . . .“.

ADIEUX A LA PATRIE

Szopen wyjeżdża za granicę w dzień Zaduszny — 2 listopada 1830 r. — na cztery tygodnie przed nocą Belwederską. Wyjeżdża, żegnany na Wol-

skiej rogatce przez grono kolegów z Konserwatorium Warszawskiego, którzy pod dyrekcją ukochanego mistrza J. Elsnera odśpiewali chórem skomponowaną na jego cześć kantatę. W naiwnych nieco słowach tej kantaty wyrażało się życzenie, aby Szopen w obcych krajach rozsławił muzykę polską.

Jako wiatyk na daleką drogę otrzymał od przyjaciół małą urnę srebrną z grudką ziemi polskiej.

Szopen opuszcza kraj jako bardzo swej polskości świadomy Polak. Wyjeżdża przesycony atmosferą patriotyczną przedpowstaniowej stolicy, unosząc ze sobą wspomnienia, które będą szły za nim w jego samotnej wędrówce wśród obcych.

W bagażu podróżnym zabierał zagranicę nie byle jaki dorobek artystyczny. Obok kilku młodzieńczych, ale zupełnie już dojrzałych utworów, oba jego natchnione koncerty fortepianowe: E-mol i F-mol powstały w kraju. Były — jak on — dziećmi Warszawy. Drugi koncert (F-mol) był jego ukochanym dziełem. I słusznie mógł być dumny z tego „koncertu nad koncertami". Przecież o cudnym Adagio tego koncertu powie kiedyś Liszt — sędzia wytrawny i bardzo wybredny — że jest „idealny w swej doskonałości". *(„L'Adagio du Second Concert est d'une idéale perfection").*

Droga prowadziła przez Wrocław i Drezno do Wiednia, gdzie w lecie 1829 r. Szopen odniósł swe pierwsze sukcesy zagraniczne. W miarę oddalania się od kraju rosło w nim poczucie misji artystycznej.

WYBUCH POWSTANIA

Wiadomość o wybuchu powstania listopadowego poruszyła go do głębi. W obojętnym, a nawet zgoła niechętnym Wiedniu, samotny wśród obcych ludzi, przeżywał wzruszenia i uniesienia walczącego kraju. Początkowo chciał wracać do Warszawy, uległ jednak perswazjom ojca. Dręczyła go troska o najbliższych i niepokój o losy toczącej się walki.

„W salonie udaję spokojnego — pisze w liście do przyjaciela (J. Matuszyńskiego) w ostatnich dniach grudnia 1830 r. — a wróciwszy do domu piorunuję na fortepianie...". Echa tych piorunów zagrzmią niedługo w Etiudzie Rewolucyjnej.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia notuje z ujmującą prostotą: „Wstałem, zagrałem sobie smutno...". Z tych nastrojów narodzi się wspomniane już potężne Scherzo h-moł.

Wcześnie zaznał goryczy emigranta. Oto wkrótce po przybyciu do Wiednia słyszy urywek rozmowy w traktierni włoskiej: *„Der liebe Gott hat einen Fehler gemacht, dass er die Polen geschaffen hat"* ... Szopena porywa gniew. Notuje to przypadkiem zasłyszane zdanie i dodaje z oburzeniem soczyste: „Psiajuchy" ...

Jakbyśmy słyszeli te słowa i przeżywali własne wzburzenie, kiedy w naszej obecności obrażano nasze polskie uczucia...

Szopen nosi swą godność narodową wysoko i z dumą: „Jako artysta jestem jeszcze w kolebce — pisze ze wzruszającą skromnością do swego mistrza Elsnera (26. I. 1831 r.) — a jako Polak trzeci krzyżyk zacząłem".

Trawiła go gorączka. Pochłaniał gazety w poszukiwaniu wiadomości z Polski. Czytał z radością o pierwszych zwycięstwach, które rozpaliły na krótko radosne nadzieje.

NARODOWOŚĆ, NARODOWOŚĆ I JESZCZE RAZ NARODOWOŚĆ

W parę miesięcy po wyjeździe z kraju otrzymał od przyj,aciela, Stefana Witwickiego, list głęboko wzruszający, pisany jeszcze z Warszawy:

„Obyś tylko ciągle miał na uwadze: narodowość, narodowość i jeszcze raz narodowość; jest to prawie czcze słowo dla pospolitych pisarzów, ale nie dla takiego jak Twój talentu. Jest ojczysta melodia, jak klima ojczyste. Góry, lasy, wody i łąki mają swój głos rodzinny, wewnętrzny, choć go niekażda dusza pojmuje...".

Słowa tego listu głęboko zapadły mu w duszę...

W Stutgarcie, gdzie zatrzymał się w drodze do Paryża, dognała go ponura wieść o upadku Warszawy (8. IX. 1831 r.). Tłumione uczucia wybuchają krzykiem rozpaczy. Szopen pisze w notatniku: „O Boże, jesteś ty! Jesteś i nie mścisz się! Czy jeszcze Ci nie dość zbrodni moskiewskich — albo — alboś sam Moskal...".

PASSANT PAR PARIS A LONDRES...

Jako dobrowolny emigrant, zbuntowany przeciw władzy cara, Szopen miał duże trudności w poruszaniu się po ówczesnej Europie. Po długich staraniach dostał... francuską wizę tranzytową: *„Passant par Paris à Londres..."* W słowach tej bezdusznej formuły urzędowej zawiera się gorzki symbol tułaczej doli. Szopen często je powtarzał . Po wielu latach pobytu w Paryżu zwykł był mawiać pół żartem, pół serio:

Je ne suis ici qu'en passant". (Liszt: F. Chopin, str. 55).

Do Francji jechał z uczuciem głębokiej goryczy.

„Boże — pisał — Boże, wzrusz ziemię, niech pochłonie ludzi tego wieku. — Niech najsroższe męczarnie dręczą Francuzów, co nam na pomoc nie przyszli...".

W listach do rodziny i do przyjaciół Szopen na gorąco notuje pierwsze wrażenia. Jest — jak każdy przybysz — upojony Paryżem. Bystro

obserwuje bujne życie stolicy, jego gorączkowe tempo i zmienne, falujące nastroje.

Ówczesny rząd francuski, rząd statecznej Monarchii Lipcowej — z obawy przed powikłaniami dyplomatycznymi — odnosi się do emigrantów polskich z pełną zakłopotania rezerwą.

Natomiast społeczestwo francuskie, które w pamiętnych dniach 29—31 lipca 1830 r. obaliło na barykadach rządy Karola X-go, chętnie manifestuje swe przyjazne uczucia. Młodzież paryska, gorąca i zapalna głośno objawia swoje sympatie, wznosząc na ulicach okrzyki na cześć Polski i Polaków.

Szopen notuje zabawne objawy tego entuzjazmu. „Nic mnie tak nie ubawiło — pisze — jak afiszowanie w jednym z mniejszych teatrów, że podczas antraktu grać będą: *„la mazurka Dobruski“ „jeszore polska mirgineta“*.

POCZĄTKI SŁAWY

W kilka miesięcy po przyjeździe do Paryża (26. 2. 32 r.) Szopen wystąpił publicznie na wielkim koncercie w sali Pléyela. Było to wielkie wydarzenie w smutnym życiu naszej emigracji. Na koncert przybyli jej czołowi przedstawiciele: ks. Adam Czartoryski, J. U. Niemcewicz. Zjawili się przyjaciele Szopena: S. Witwicki, Grzymała, Fontana.

Ukazanie się polskiego artysty powitał dreszcz zaciekawienia. Po pierwszych pasażach na sali zapanowała przejmująca cisza. Szopen grał swój koncert F-mol. „Popłynęły dźwięki, jakich jeszcze nikt nigdy nie słyszał“ (G. de Pourtalès: *Chopin ou la vie d'un poète)*. Kiedy skończył, zerwały się burzliwe oklaski. Wielki wirtuoz, Liszt, oklaskiwał najgoręcej. Olśniony nowością stylu, widział w nim „nowe objawienie uczuć poetycznych . . .“.

Po kilku ciężkich miesiącach zaczyna się dla Szopena nieprzerwane pasmo sukcesów. Staje się ulubieńcem salonów, w których ogniskuje się życie artystyczne wielkiej stolicy. Ze swobodą wielkiego artysty obraca się wśród ludzi o głośnych nazwiskach, jak Heine, Liszt, Franchomme, Delacroix.

O tych sukcesach, które mogły były odurzyć słabszą głowę, pisze z ujmującą skromnością w liście do przyjaciela, D. Dziewanowskiego:

„Wszedłem do najwyższego towarzystwa. Siedzę między ambasadorami, książętami i ministrami. Sam nie wiem, jakim to się stało cudem, bo nie robiłem żadnych starań“.

Krytycy muzyczni piszą o nim ze szczerym zachwytem. Robert Schumann wita go głośnym artykułem:

„Hut ab, Ihr Herren, ein Genie . . .“.

Znakomity pisarz francuski Ernest Legouvé określa go — na podstawie osobistej znajomości — jako *„trinité charmante“*. „Jego cała postać — pisze — jego gra i jego kompozycje tworzą pełną harmonię . . .“.

Po koncercie Szopena w Rouen (w 1838 r.) Legouvé woła z zachwytem na łamach *Gazette Musicale“:*

„Kto jest dzisiaj czołowym artystą w Europie? Liszt czy Thalbery? cały świat odpowie w zgodzie z tymi, którzy go słyszeli: Szopen“.

ŻAL

Szopen, otoczony uwielbieniem swoich współczesnych, zachowuje chłodny dystans wobec przyjaznych, ale obcych mu ludzi. Chętnie przebywa „w jakiejś dziwnej przestrzeni“. „Są to zapewne — pisze w 1845 r. — owe espaces imaginaires, ale ja się tego nie wstydzę . . .“.

Odbicie podobnych nastrojów, tym żywsze, że świeże i bezpośrednie, rysuje się na kartach książki Liszta, wydanej w dwa lata po śmierci Szopena. Znajdujemy w tej książce wzruszające wspomnienie:

„Pewnego popołudnia — pisze Liszt — siedzieliśmy tylko we troje. Szopen dużo grał. Jedna z najwykwintniejszych kobiet Paryża zapytała go nagle, jakim imieniem nazwałby to niezwykłe uczucie *(le sentiment extraordinaire)*, które zamykał w swych utworach . . . Na widok łez, które zobaczył w tak pięknych oczach, Szopen odpowiedział że, pomimo przejściowych chwil wesołości, nigdy nie może uwolnić się od uczucia, które tworzy jakoby grunt jego serca *(le sol de son coeur)*, a dla którego nazwę umiałby znaleźć jedynie w języku ojczystym . . . Żaden bowiem inny język nie zna odpowiednika polskiego wyrazu: *żal.* Słowo to powtarzał często, jakby ucho jego było spragnione tego dźwięku . . .“.

Uczucie dobrze nam wszystkim znane. To samo uczucie niosło „duszę utęsknioną“ Mickiewicza

. . . do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem . . .

Z tej tęsknoty narodzi się w 1834 r. jedno z największych arcydzieł poezji polskiej: Pan Tadeusz. Z tej nienasyconej tęsknoty wyrosły na obcej ziemi najpiękniejsze utwory Szopena: Scherza i Sonaty, Polonezy i Mazurki.

SZOPEN W ANGLII

Na schyłku życia — wiosną 1848 r. — Szopen przyjechał do Anglii. Dał kilka koncertów w Londynie, Glasgow i Edynburgu. Grał na przyjęciu u księżnej Sutherland w obecności królowej Wiktorii, która wyraziła mu swe najwyższe uznanie. Zbierał hołdy tutejszego beau monde'u i gorące pochwały prasy.

Ze Szkocji — po ośmiu godzinach męczącej podróży koleją — przyjechał w końcu sierpnia 1848 r. do Manchesteru. Był gościem Mr. Salis Schwabe, którego poznał w Paryżu. „Jest to" — pisał do Grzymały — „jeden z najwybitniejszych przemysłowców" i dodawał z humorem: „Jest właścicielem najwyższego komina w Manchesterze, który kosztował go 5.000 funtów".

Koncert Szopena odbył się 28 sierpnia w wielkiej sali, mogącej pomieścić 1200 osób.

Pismo *Manchester Guardian* pisało o tym koncercie 30. 8.:

„Jego utwory i jego gra osiągnęły doskonałość muzyki kameralnej".

Po tych gorących pochwałach dodawał uwagę krytyczną. Stwierdzał „brak szerokiego oddechu i potęgi wykonania (może: siły uderzenia), tak bardzo potrzebnych w wielkiej sali koncertowej".

„Wizyta Szopena w Anglii" — pisał w tym czasie St. Koźmian — „była wielkim wydarzeniem w świecie muzycznym; jego tutaj pobyt — jednym nieprzerwanym pasmem sukcesów. Szopen był jednak obojętny na te sukcesy. Był smutny i przygnębiony ... Mówił tylko o Polsce ...".

W czasie pobytu w Anglii Szopen zaprzyjaźnił się z gorącym obrońcą spraw polskich, Lordem Dudley Stuart, prezesem Society of the Friends of Poland. Miał z nim długie, serdeczne rozmowy. O czym mówił? Tematów łatwo się domyślić.

WIARA SZOPENA

Do ostatniego tchu dochował wiary Ojczyźnie. Wierzył w Polskę całą mocą swej potężnej duszy.

„Nie obejdzie się tu bez strasznych rzeczy" — pisał w kwietniu 1848 r. — „ale na końcu tego wszystkiego jest Polska, świetna, duża, słowem Polska".

A kiedy zamknął powieki w jesieni 1849 r., serce Szopena — zgodnie z jego ostatnią wolą — wróciło do Polski. Złożone na wieczny spoczynek w głównej nawie kościoła św. Krzyża w Warszawie, wróciło na Krakowskie Przedmieście, na ulicę jego młodości.

ORĘDOWNIK POLSKI

Szopen z niezrównanym artyzmem wyraził w swych utworach to wszystko, co w duszy polskiej jest trwałe i niezmienne. Wedle pięknego określenia Paderewskiego, „w jego muzyce zarazem burzliwej i kojącej, delikatnej i namiętnej, tęsknej i mocnej ... żyje cała Polska".

Muzyka Szopena zestraja polskie tradycje narodowe z rytmem świata zachodniego. Jest bardzo polska i zachodnia, jak polskie i zachodnie jest wszystko, co nasz naród trwałego stworzył: pieśń Bogurodzica i literatura Wieku Złotego, Kościół Panny Marii w Krakowie i Kościół Św. Anny w Wilnie, akt Unii Lubelskiej i Konstytucja 3-go maja.

Ten nierozerwalny związek Polski z Zachodem wypowiada się może najsilniej w muzyce Szopena i dlatego właśnie budzi wszędzie na świecie najżywszy oddźwięk. Język, którym mówi Szopen, język tonów i półtonów, jak klasyczna łacina w dobie Odrodzenia, jest zrozumiały dla wszystkich.

Jakże ciekawie pisze o tym w przedmowie do pięknej książki Kazimierza Wierzyńskiego: *The Life and Death of Chopin* jeden z najświetniejszych pianistów naszych czasów, Artur Rubinstein:

„Jest rzeczą niezwykłą obserwować, jak muzyka Szopena zdobywa różnorodne audytoria. Spotykałem się tu i owdzie z brakiem zrozumienia Bacha, z dość chłodnym entuzjazmem dla Mozarta we Włoszech, z zastanawiającą antypatią do Brahmsa w krajach łacińskich, z niechęcią do Czajkowskiego we Francji ...

„Szopen wszędzie, we wszystkich krajach podbija serca ludzkie. Ten najbardziej narodowy spośród twórców muzyki jest najbardziej uniwersalny. To niezwykłe zjawisko uderzało mnie zawsze, ilekroć grałem Mazurki w Chinach, Polonezy w Japonii, Ballady w Australii i w Południowej Afryce ...".

★

W naszych dziejach porozbiorowych mieliśmy wielkich statystów i żołnierzy, bohaterów i pisarzy. Nie mieliśmy chyba równie wymownego orędownika Polski.

Nopisał kiedyś Schumann, który pierwszy w Europie odkrył w Szopenie geniusza:

„Gdyby samowładny monarcha północy wiedział, jakich ma wrogów w skromnych melodiach Mazurków, zakazałby takiej muzyki, która jest jak armaty wśród kwiatów".

Ale władza cara rosyjskiego nie sięgała poza granice jego imperium. Nie mogła nakazać milczenia tym groźnym armatom. Ich echo niosło się szeroko po świecie, jak ostrzeżenie i pobudka. Muzyka Szopena docierała do najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej. Obcym ludziom mówiła o dalekiej i nieznanej Polsce. Jednała nam sprzymierzeńców i najwierniejszych przyjaciół.

W pamiętnych dniach września 1939 r. oblężona Warszawa wołała do narodów Zachodu bohaterskimi akordami Poloneza A-dur. Niesione na falach radiowych były te akordy ostatnim głosem samotnie walczącej stolicy. Dzisiaj, w chwilach najcięższych, czar muzyki Szopena broni przeciw zwątpieniu i przyśpiesza serca bicie. Jest w tej muzyce nasza wiara i nasza siła. A kiedy po latach cierpienia i klęski skończy się zmora niewoli, nieśmiertelne tony tej muzyki uderzą pod niebo, jak Hymn Zmartwychwstania.

JAN JORDAN

„TAŃCE POLSKIE" PO ANGIELSKU

Na angielskim rynku księgarskim ukazała się oprawna książka p. t. „Dances of Poland" (Tańce polskie) napisana przez p. Helen Wolską, Angielkę o polskim nazwisku.*) Druk dokonany został w Londynie pod protektoratem Royal Academy of Dancing i Ling Physical Education Association w serii „Handbooks of European National Dances" (Podręczniki europejskich tańców narodowych) pod redakcją p. Violet Alford i z ilustracjami p. G. Douglas Halliday, oraz z tekstami nutowymi układu p. Arnold Foster. Przystępując do jej omówienia zdajemy sobie doskonale sprawę, że mamy tu dobrą sposobność do okazania na przykładzie, jak w praktyce układać się może nasze współżycie z obcymi.

Książka o sprawach na wskroś polskich wydana została przez instytucję obcą i autora obcego, na zachodzie, czyli tam, gdzie kultura nie jest „kierowana", lecz rozwija się w warunkach jak najbardziej liberalnych. Ukazała się w kraju, zasadniczo przychylnym polskim poczynaniom kulturalnym i tak liberalnym, że podszepty naszych wrogów mogą tu i ówdzie znaleźć łatwo posłuch. W stosunku do książeczki wydanej w takich warunkach nie możemy wysuwać tak kategorycznych postulatów, jak wobec własnych poczynań, niemniej nie możemy pozostać biernymi. Winniśmy okazać swą wdzięczność, jeśli rzecz na to zasługuje, albo ją po prostu odrzucić, jeśli opracowanie znajduje się poniżej niezbędnych wymagań. Czując się zmuszeni, już po pierwszej analizie, do zajęcia drugiego stanowiska, tym bardziej poczuwamy się do jego uzasadnienia.

Zacznijmy od rzeczy, która nas przede wszystkim razi i która może mieć decydujący wpływ na ujęcie samego tematu: od umieszczenia przez wydawców na stronie tytułowej orła państwowego bez korony, a za to z dwiema pięcioramiennymi gwiazdkami, po jednej na każdym skrzydle, i mapy z obecnymi, jakby ostatecznymi, granicami. Tomik o Finlandii z r. 1948 podaje emblemat państwowy bez zmian. Czechosłowacja z r. 1949 również. Natomiast tomik o Węgrzech z 1950 r. i o Bułgarii z 1951 r. mają już w swych emblematach bolszewicką gwiazdę pięcioramienną. Jeżeli zmienione będą również emblematy państwowe w mających się ukazać bezpośrednio po Polsce tomikach poświęconych Rumunii i Jugosławii, to będzie można wysuwać tylko jeden wniosek. Że najpierw, do pewnego czasu (r. 1949) tomiki ukazywały się raczej we współpracy z miejscowymi czynnikami emigracyjnymi, a potem zatroszczył się ktoś o to, aby wydawnictwo było bardziej prawowierne wobec zakurtynowych reżymów.

Sylwetki autorów tych książeczek o tańcach prowadzą myśl w tym samym kierunku. Najpierw ma się do czynienia z autorami odpowiednich narodowości, znawcami lub tancerzami nie zaangażowanymi oficjalnie, a potem z dyrektorem Węgierskiego Instytutu Kulturalnego w Londynie i z kierowniczką odpowiedniego wydziału Muzeum Etnograficznego w Sofii. Ta sytuacja jest wyraźna. W stosunku do tomiku polskiego i kilku innych zastosowano metodę pośrednią. Autorką jest p. Helen Wolska, która, jak pisze wydawnictwo na obwolucie książeczki, „od dłuższego czasu miała do czynienia z polskimi tańcami, gdyż najpierw była związana z Zespołem Polskiego Baletu kierowanego przez siostrę Niżyńskiego (Bronisławę Niżyńską — przyp. J. J.), a potem weszła w skład dobrze znanego zespołu Anglo-Polskiego Baletu zarówno jako tancerka, jak i baletmistrzyni".

Postąpiono więc tutaj podobnie, jak w tomiku z tańcami hiszpańskimi, portugalskimi i niemieckimi. Dwa pierwsze opracowała p. Lucille Armstrong, Angielka, podobnie jak p. Agnes Fyfe, autorka trzeciego tomiku. Znaleziono więc dyplomatyczne wyjście i w wypadku Polski, zwłaszcza że w Kraju trudno o specjalistów, a pomocy tych, którzy są poza Krajem, raczej unikano. Znamienna jest dyskrecja, jaką otoczono przygotowania do polskiego tomiku, pomimo nieukrywanej ciekawości ze strony zainteresowanych polskich kół emigracyjnych.

Cała ta sprawa doboru autorów nie miałaby zasadniczego znaczenia, gdyby p. Helen Wolska była rzeczywiście osobą znającą swój przedmiot na tyle, aby zadaniu podołać. Niestety niejedno wskazuje, że tak nie jest. Trudno powoływać się na Bronisławę Niżyńską, która tak odbiegła od spraw polskich, że polskiego folkloru tanecznego uczyła się dopiero sama w Polsce po przyjeździe i objęciu stanowiska baletmistrza t. zw. reprezentacyjnego Baletu Polskiego, które zresztą złożyła po roku, przekazując je w ręce J. Cieplińskiego i S. Wójcikowskiego. Nawet powierzchowne przejrzenie zamykającej tomik „Tańców polskich" bibliografii wskazuje, że mamy do

---

*) **Dances of Poland.** Helen Wolska. London, Max Parrish and Company. 1952. Colour illustrations by G. Douglas Halliday. Str. 38 i 2 nlb.

czynienia z zupełną amatorką w tej dziedzinie i dyletantką, najwidoczniej nawet nie znającą języka polskiego, tak przypadkowo i nieistotnie dobrane są źródła, niemal wyłącznie angielskie, do jej opracowania.

Zatrzymajmy się nieco nad tak ważną sprawą źródeł opracowania. Otóż znakomitą większość z nich można by sobie darować. Natomiast nie uwzględniono najbardziej zasadniczych. Nie zamierzając bynajmniej podawać tutaj pełnego zestawienia materiałów, jakie należy uwzględnić przy napisaniu najbardziej szkicowej historii czy charakterystyki tańców polskich, niemniej musimy wymienić najważniejsze. Nie sposób więc byłoby obyć się bez uwag Aleksandra Brueckner, jeśli chodzi o prehistorię, czy nie sięgnąć do Łukasza Gołębiowskiego „Gry i zabawy...", do Zygmunta Glogera „Encyklopedii staropolskiej", czy Oskara Kolberga „Ludu", nie mówiąc o przyczynkowych źródłach, jak Rej, Pasek, Kitowicz i t.d. Przede wszystkim zaś trzeba uwzględnić prace polskich etnografów: Fischera, Moszyńskiego, Jędrzejewiczowej czy Bystronia, lub muzykologów, jak Reiss, Jachimecki i inni. Niejedna z tych prac jest dostępna nawet na emigracji, pod warunkiem, że się umie czytać po polsku. Ze źródeł angielskich dobrze byłoby wykorzystać prace Edwarda Kuryły, ale uwzględniając nietylko jeden, ale i dalsze artykuły ogłaszane przez niego w czasopismach fachowych.

Spodziewać się należało, jak w wielu innych tomikach tej serii, jakiegoś choćby zarysu dziejów tańca w Polsce i jego charakterystyki, ograniczonego do najważniejszych danych. Zamiast tego wstęp przynosi trochę gołosłownych przechwałek, trochę ogólników o zatraconych i zachowanych tańcach, stwierdzenie, że Polska miała bardzo burzliwe dzieje, krótki wykład geografii kraju. Zamykają go znowu gołosłowne ogólniki o rozwoju naszych tańców nizinnych, jak polonez, łowiczanka (właśnie „łowiczanka") i mazur i o żywości tańców wyżynnych, jak góralski i harnaś (jaki „harnaś"?). Jak na Polskę, kraj liczący kilka tysięcy odmian tańca ludowego, z których znana jest bodaj setka nazw historycznych, powiedziała p. Helen Wolska o całości mało i byle jak.

Niewątpliwie dla cudzoziemki, jak i dla samych Polaków, jest wielką niedogodnością, iż dotychczas polski taniec ludowy nie doczekał się ani jednego systematycznego zarysu historycznego, opartego o dostępne źródła. Poza rozdziałem w rozważaniach kulturalno-obyczajowych „O tańcu" Stanisława Dzikowskiego, dalekim od właściwego ujęcia przedmiotu, nie ma ani jednej najluźniejszej choćby próby ujęcia w rozumowaną całość pochodzenia, wpływów i rozwoju najważniejszych choćby form o polskim zakroju etnicznym lub też wyraźnie przyswojonych. Toteż ze strony polskiej wypada wyrazić tym większy żal, iż ta sposobność sporządzenia i ogłoszenia takiego zarysu została stracona.

Przyjrzyjmy się teraz poszczególnym rozdzialikom, na jakie podzielono dalszy ciąg treści, a zatytułowanym: „Krakowiak", „Polonez", „Mazur", „Zakopane", „Wiejskie wesele", „Muzyka" i „Kostium". Wszędzie jest trochę wszystkiego i nie o wszystkim, co się po polsku zwie grochem z kapustą lub sieczką. Przy krakowiaku jest jedno słowo o kujawiaku i łowiczance (koniecznie o łowiczance!), a potem legenda o Kraku i o hejnale z wieży kościoła Mariackiego ale bez słówka o lajkoniku. Czytamy zwięzłą wzmiankę, iż krakowiak był tańczony „w r. 1510 za króla Zygmunta", że jest w rytmie 2/4 i wykonywany z przyśpiewkami, w co wtrącona jest ogólna charakterystyka tańców polskich i porównanie ich z rosyjskimi. W polskich — mówi autorka — mężczyźni i kobiety tańczą razem, czy to będą chłopi, czy arystokracja. W rosyjskich zgodnie z pojęciami wschodnimi mężczyźni i kobiety występują przeważnie osobno. Podnieść trzeba ten objaw dobrej woli i obiektywizmu.

Omawianie poloneza zaczyna się od uwagi o jego początkach za Henryka III Walezego w 1573 r. i o istniejącym przedtem tańcu polskim, który dotarł do krajów skandynawskich. Charakterystyka jego jest poprawna i powtarza wszystko, co się zwykło mówić na ten temat. Dodano wycieczkę w dziedzinę muzyki, luźno związaną z tematem. Mazurowi poświęcono szczególnie mało miejsca, wskazując na jego charakterystykę rytmiczną, jakoby polegającą na akcencie spoczywającym na drugiej części taktu. Jest to raczej niesłuszne, ale uparcie powtarzane przez autorów zachodnio-europejskich.

W rozdziale p.t. „Zakopane" zmieściły się ogólne uwagi o tańcach górali podhalańskich, wykonywanych nie z ciupagami, lecz „toporkami", jak podano w polskim brzmieniu. Kroki, zdaniem autorki, przypominają kozaka; ciekawsze byłoby chyba powiedzieć, czy się od kozaka różnią. Nie tylko nasi wybitni metodologowie etnografii, jak prof. Jędrzejewiczowa, ale i znawcy tańca na zachodzie, w rodzaju A. Levinsona, podkreślają i podkreślali zawsze większe znaczenie różnic, aniżeli podobieństw w folklorze. Cały wykład p. Wolskiej nie wykazuje jednak zrozumienia dla zagadnień metodologicznych. Nic więc dziwnego, że nie docenia wagi posiadania dla orientacji jakiejś ogólnej teorii rozwoju zjawisk etnograficznych dla przedstawienia dziejów jakiegoś tańca i możności jego porównawczego traktowania. Tym bardziej zaskakuje echo najwidoczniej gdzieś zasłyszanej uwagi, że: „Skakanie przez ogień zdaje się być częścią ceremonii wtajemniczenia w bandach zbójnickich".

Przejście do opisu zwyczajów weselnych na wsi nie jest pozbawione komizmu tak charakterystycz-

nego dla reżyserowanych filmów przez Lubicza. Autorka pisze, że zapraszający ne wesele chłopcy, zapewne drużbowie, ,,uderzając obcasami, przy odejściu mówią: ,,Ostańcie z Bogiem'', na co odpowiada się: ,,Niech was Bóg prowadzi''. Taką scenę widocznie autorka widziała na scenie jakiegoś baletu. Po znów ogólnikowym i bezładnym opisie wigilii wesela, nazwanej ,,dobra nocka'', starannie pomijając rzeczy naistotniejsze i ich wyjaśnienie, a zatrzymując się na różnych przesądach, czy legendzie zbliżonej do „Umarł Maciek...", mówi autorka, że we właściwy dzień wesela (bez względu na okolicę najwidoczniej, bo nie dowiadujemy się, na jakim jesteśmy weselu) rano goście tańczą krakowiaka, po czym młoda para zjawia się (nie wiadomo skąd) i jest witana chlebem i solą oraz błogosławiona przez rodziców Pana Młodego. Porządek utrzymują drużbowie. Biedny porządek. A przecież znaleźć go można było w książce M. Dynowskiej „Polska w zwyczaju i obyczaju".

Stosunkowo obszerny jest rozdział poświęcony strojom ludowym. Po kilku uwagach o ich barwności i wyjaśnieniu, z czego są tkane, autorka zatrzymuje się na pasie stroju góralskiego. Dowiadujemy się, że pasy nabijane noszone są przez starszych pastuchów na wysokich pastwiskach gminnych, jako odznaka władzy nad młodymi pastuchami, zwanymi ,,Juhasi''. Następuje ,,najwłaściwszy do oberka'' opis stroju rzekomo łowickiego, stanowiący omówienie jakiejś planszy i świadczący o słabym pojęciu i wyczuciu u angielskiego rysownika zarówno oryginalnych polskich strojów ludowych, jak i właściwej sylwetki wiejskich tancerzy. Z rysunków sądząc, istnieje wielkie podobieństwo między polskim typem chłopskim, a młodzieżą artystyczną z Chelsea. Autorka twierdzi, że najwłaściwszy do mazura jest strój wojskowy złożony z jasno niebieskiej bluzy wojskowej i czerwonych spodni. Tak sobie widocznie wyobraża ułański strój marokańskich spahisów. Dalej mowa jest o ,,long coat'', zapewne sukmanach, i t.d.

Zapewne chcąc dorównać autorom innych tomików, również i w tym dano rodzaj kalendarzyka ważniejszych sposobności do tańca w obyczaju ludowym. Wyszło coś znów bardzo nieokreślonego i beztreściwego. Gdyby zajrzeć do artykułu prof. Jędrzejewiczowej w ,,Poradniku'', rzecz można byłoby lepiej sporządzić. Ale w uwadze tej znowu zapominamy, że na to trzeba nie tylko być w Anglii, ale i czytać po polsku, a przynajmniej stykać się z Polakami, którzy się tymi sprawami interesują. Ciekawe np., że autorka od dożynek do Bożego Narodzenia nie widzi żadnej sposobności do tańca na wsi.

Po tak niezachęcającym wstępie ogólnym, ani historycznym, ani etnograficznym, i wobec doboru plansz, z których dalsze przedstawiają: 1) przyklękanie w mazurze, zapewne chłopskim (choć opis dotyczy tańca salonowego), gdyż tańczonym w sukmanie mazurskiej i rogatywce, wszystko w niebieskim kolorze), 2) przestylizowane stroje góralskie, i 3) krakowiaka w nazbyt do kozaczka podobnej figurze, niebardzo wiele można spodziewać się po szczegółowej analizie podanych układów, zwłaszcza, że zaprowadziłyby nas one w dziedzinę zbyt technicznych rozważań.

Wystarczy na wyrywki rzucić okiem na opis kroku mazurowego. Tancerz ma niby obejmować prawą ręką tancerkę w talii, a lewą trzymać jej lewą rękę. Spróbujmy się tak posuwać naprzód krokiem mazurowym, a zobaczymy, co z tego wyjdzie. A oto opis przyklękania w mazurze: mężczyzna ma zaczynać je od skoku w powietrze (co dzieje się w przyklękanym oberku, w mazurze wystarczy leciutki podskok). Nie, nie sposób zagłębiać się dalej. Wystarczą podane przykłady, aby stracić wszelkie zaufanie do tego wytworu może nawet i dobrej woli, ale zbyt wielkiej przy tym nonszalancji.

Musimy nietylko odrzucić tę bałamutną książeczkę, ale i przestrzec Polaków przed bezkrytycznym korzystaniem z niej. Szkoda, że zawodne są sposoby dotarcia i do niepolskich czytelników, wśród których może wywołać dużo zamieszania. Jest nadzieja, że znajdą się przyjaciele angielscy, którzy ostrzegą wydawców przed niewłaściwym dobieraniem sobie współpracowników.

Dla nas Polaków książeczka ta powinna być też przestrogą przed zbytnim przeciąganiem w czasie naszych własnych zaniedbań zbiorowych w zakresie opracowania naszych własnych tańców polskich, na własny użytek i dla obcych. Materiał do opracowania poprawnej co najmniej książeczki z punktu widzenia obecnego stanu naszej wiedzy o dziejach i formach tańców polskich istnieje i dostępny jest w dużej części na emigracji, w Lonynie Był on w swych zasadniczych urywkach niejednokrotnie drukowany. Rozporządzamy też innymi materiałami. Zainteresowanie tymi sprawami nie tylko wśród cudzoziemców, ale i Polaków nie tylko istnieje, ale wciąż wzrasta. Można więc zdobyć należyte oparcie dla tego rodzaju przedsięwzięcia wydawniczego, które zaspokoiłoby potrzeby nie tylko środowiska brytyjskiego, ale i wielu innych skupień polskich, rozsianych po całej kuli ziemskiej.

Dopóki Polacy sami nie zdobędą się wreszcie na odpowiednie opracowanie i wydanie własnych tańców, nie mogą spodziewać się, że cudzoziemcy zrobią to za nich lepiej. W tym stanie rzeczy nie możemy w czambuł potępić dobrych chęci autorki, choć niewątpliwie sama nie jest bez winy, nie korzystając z właściwych źródeł informacji, lub zawierzając zbytnio niewłaściwym informatorom. Ale musimy też wziąć część winy na siebie. Pomóżmy sobie sami, a wtedy inni nam dużo skuteczniej będą pomagali. Taki wydaje się morał z tej chybionej pracy przedstawicielki kraju, którego jesteśmy długoczasowymi gośćmi, i rzeczniczki kilku angielskich instytucji, które jej pracy patronowały.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w TORUNIU

WIECZORNICE
materiały i pomoce

TEODOZJA LISIEWICZ

ZMOWA PRZEDMIOTÓW MARTWYCH

JEDNOAKTÓWKA

OSOBY:

JOANNA — lat przeszło 30, jasna, różowa, może zbyt pełna blondynka. Zawsze pogodna, uśmiechnięta. Gdyby nie stanowisko męża i miliony, byłaby zapewne dobrą, spokojną kurką domową.

AGATA — młoda panna, szczupła szatynka o dużych, poważnie patrzących, niebieskich oczach. Jest bezpośrednia, ma tę pewność siebie, jaka cechuje osoby trzeźwo myślące, nie znające kompromisów.

WERKA — kuzynka Joanny, młoda, nieco rozrzucona panna — wiecznie roześmiany, wesoły pulpecik. Musi być w sukni długiej, przybranej u dołu bardzo szeroką „ryszą".

PANI I,

PANI II — żadnych cech specjalnych, gdyż obie są uosobieniem konwenansu charakterystycznego dla wysokiej finansjery. W każdym razie są młode, dobrze utrzymane, bogato ubrane.

GUSTAW — mąż Joanny, prezes Rady Nadzorczej poważnego koncernu przemysłowego. Wiek średni, przystojny, barczysty, doskonale nosi ubranie. Sposób mówienia bardzo pewny siebie, chwilami nawet protekcjonalny. Jego uprzejmość wobec żony i drugich jest zbyt wyszukana, zbyt wystudiowana, by nie przypuszczać, że pokrywa wielkie chamstwo duchowe.

ALEK — narzeczony Agaty. Lat około 30, wygląda jednak młodziej, gdyż w swojej szczupłej sylwetce, w twarzy delikatnej, pogodnej, o brązowych, jakby zawsze uśmiechniętych oczach ma w sobie coś z efeba. Człowiek bardzo subtelny, pozuje na beztroskiego nieroba, czym pokrywa swoją wrażliwość i wrodzony romantyzm.

MARECKI — młody człowiek nieskazitelnie ubrany, niesympatycznie przystojny. Chwilami ma sposób bycia i mówienia arogancki, nawet agresywny. Za lat kilka na pewno dojdzie do stanowiska jakiegoś prezesa jakiejś Rady Nadzorczej ciężkiego przemysłu.

PAN I,

PAN II — ludzie w średnim wieku, jakich wiele, dlatego czują się dobrze w domu Gustawa i Joanny, w towarzystwie Pań I i II.

Rzecz dzieje się współcześnie, w domu Gustawa i Joanny, podczas przyjęcia w dniu rocznicy ich ślubu.

Scena powinna przedstawiać fragment gabinetu lub biblioteki urządzonej bardzo zamożnie, nawet pretensjonalnie. Panie powinny być w wieczorowych toaletach, panowie we frakach. Ponieważ jest to trudne do osiągnięcia w teatrach amatorskich, zatem należy scenę zawiesić gładkimi kotarami tak, by wnętrze sprawiało wrażenie pokoju wysokiego, obszernego. Nacisk położyć na efektowne oświetlenie. Panie w długich sukniach, panowie w ciemnych marynarkach.

Podłoga zakryta ładnym dywanem. Wejście po pewnej przysłonięte kotarą, drugie w głębi, po środku. Jeśli możliwe, drzwi w głębi powinny być szklane, tło za sceną jasno oświetlone, jakby drzwi prowadziły do sali balowej.

Po lewej ozdobne lustro, po bokach lustra dwa świeczniki, pod lustrem fotel. Na pierwszym planie, nieco po prawej, dwa ciężkie fotele, obok niewielki stolik z przyborami do palenia. W głębi, między kotarami lub na małym stoliku telefon.

Z chwilą podniesienia kurtyny słychać śmiech, rozbawione głosy. Całe towarzystwo stoi po środku sceny otaczając Alka, który w podniesionej wysoko ręce trzyma talię kart.

ALEK:

Teraz proszę, niech ktoś zechce wyciągnąć jedną kartę... *(wyciąga rękę ku otaczającym)*. Może pan? ...może pani?... *(zatrzymuje rękę przed najbliżej stojącą Agatą)*. Proszę, a może ty Agato? *(Agata śmiejąc się wyciąga z podanej talii jedną kartę, ogląda)*. Tylko nie pokazuj! Wszystkim pokaż — nie mnie! *(Agata pokazuje zebranym kartę)*. Wszyscy widzieli?

GŁOSY:

Tak, tak! Widzieliśmy!

ALEK *(naśladując zawodowego sztukmistrza)*:

Wszyscy pamiętają?

GŁOSY:

Pamiętamy!

ALEK (*znów wyciąga rękę ku Agacie*):

Teraz kartę wsuń tu. do talii... (*Agata wsuwa kartę*). Proszę, teraz tasuję... (*szybko tasuje karty*). Nie wiem, jaka to karta... Teraz szukam... (*przegląda karty, namyśla się, nagle wyciąga jedną kartę*). To ta?

GŁOSY (*na śmiechu*):

Nie! Nie!

ALEK (*wyjmuje drugą kartę*):

Ta?

GŁOSY:

Nie! (*ogólny śmiech*).

ALEK (*nagle drugą ręką sięga ku małej, wieczorowej torebce, jaką Pani I trzyma, momentalnie otwiera, wyjmuje z niej kartę*):

A może ta? (*okrzyki zdumienia*). Ósemka karo?

PAN I (*zdziwiony*):

Ależ tak!

PANI I (*zaskoczona*):

W mojej torebce? (*zebrani wybuchają śmiechem*).

ALEK (*sztucznie zmartwiony*):

Jak widzę, pani nie jest zadowolona... Najmocniej przepraszam... W takim razie... (*nagle zatacza ręką koło i zza kołnierza Pana I wyjmuje ósemkę karo, pokazuje zebranym*). Ta sama?

PAN II:

Ósemka karo!

ALEK (*do Pani I — bardzo uprzejmie*):

Teraz jest już pani zadowolona? (*Pani I zanosi się od śmiechu*).

PANI II:

Ależ to wspaniale!

PAN I (*jeszcze przeciągając ręką po kołnierzu*):

Najlepsze, że zupełnie nie czułem!

PANI I:

Ani ja, choć torebkę cały czas trzymam w ręce!

MARECKI:

To niemożliwe!

PAN II:

Fenomenalne!

MARECKI:

Nie wierzę! Dlaczego podsunął pan talię pannie Agacie, a nie komu innemu?

GUSTAW:

Racja! Racja! Dlaczego?

ALEK:

Bo Agata najbliżej mnie stała!

PANI I:

To zmowa narzeczonych!

WSZYSCY:

Tak, tak!

PAN II:

Unieważniam! Sztuczka udała się, bo panna Agata pomogła! Niech pan teraz spróbuje z kim innym!

GŁOSY:

To zmowa z Agatą!

JOANNA:

Alku, spróbuj teraz z Werką, zobaczymy, co z tego wyniknie!

ALEK (*jak zawodowy sztukmistrz*):

Proszę bardzo, mogę powtórzyć...

MARECKI:

Teraz dopiero się okaże!

ALEK (*do Agaty*):

Agato, stań daleko ode mnie i nawet nie patrz w moją stronę! (*wszyscy wybuchają śmiechem*). Proszę, tu talia kart, teraz tasuję... (*tasuje karty*). Panna Werka wyciągnie kartę... (*Werka śmiejąc się wyciąga jedną kartę, ogląda, pokazuje drugim*). Wszyscy widzieli?

GŁOSY:

Widzieliśmy, widzieli!

ALEK (*podsuwając talię Werce*):

Teraz tu proszę włożyć. Tasuję karty. Po raz pierwszy... po raz drugi... Raz jeszcze, żeby nikt nie miał wątpliwości... A teraz... (*wybiera jedną kartę, pokazuje*). To ta?

WSZYSCY:

Nie!

ALEK (*wyjmuje drugą*):

Ta?

WSZYSCY:

Nie! Nie ta!

ALEK (*prędko podchodzi do stolika, chce otworzyć pudełko z papierosami, w tej chwili Pan I śmiejąc się kładzie rękę na pudełku*).

PAN I:

Jeżeli karta ma się znaleźć w pudełku, to ja ją wyciągnę!

ALEK (*śmieje się*):

Bardzo proszę! (*Pan I otwiera pudełko — chwila oczekiwania — wyjmuje z pudełka kartę — Alek uprzejmie*): Czy to ta sama?

PAN I (*niepewnie*):

Ależ... ta sama! (*ogólne okrzyki zdziwienia*).

MARECKI:

Niemożliwe! Pan ją tu przedtem włożył!

PANI I:

Jak pan teraz zbliżył się do stolika, to ją pan wsunął!

ALEK (*wciąż uprzejmie uśmiechnięty*):

Ale czy to ta sama, na pewno?

GŁOSY:

Na pewno! Dwójka kier! Nie do wiary!

ALEK (*j.w.*):

Dwójka kier? Ale czy ta sama? (*momentalnie wskazuje na ubrania Pana II*). Bo może to ta? (*Pan II zdziwiony, wyciąga spod ubrania dwójkę kier — wszyscy wybuchają śmiechem*). Najmocniej przepraszam, ale zdaje mi się, że to pomyłka, bo to nie ta dwójka kier, tylko ta! (*w tej chwili zza paska sukni Pani II wyciąga inną dwójkę kier*).

PAN I:

Zdumiewające!

PANI II (*zaskoczona*):

W mojej sukni?

PAN II:

Tak, jak w moim ubraniu!

WERKA (*z uniesieniem*):

Panie Alku, pan jest nadzwyczajny!

PAN I:

Gdybym sam nie był świadkiem, to bym nigdy nie uwierzył, że...

JOANNA:

Alku, powiedz szczerze, gdzieś się tego nauczył?

ALEK:

Tyle razy już ci mówiłem, że poprostu przypatrywałem się magikom. Nic więcej. A ty nie wierzysz.

PANI II:

Panie Alku, pan ma szalony talent!

MARECKI:

Nietylko talent, ale do tego trzeba mieć i upodobanie.

WERKA:

Wprost wierzyć się nie chce!

GUSTAW:

Masz rację. Już nieraz widziałem, co wyprawia, i choć wiem, że wszystko polega tylko na szalonej zręczności, to wierzyć nie chcę.

PAN II:

Czy długo pan ćwiczył?

ALEK:

Od dziecka. Nic mnie tak nie interesowało, jak wszelkiego rodzaju sztuczki.

GUSTAW:

Wszędzie, gdzie jest, bawi całe towarzystwo.

MARECKI:

Ale pan to robi już nie jak amator, ale jak zawodowiec.

ALEK (*lekko*):

Nigdy nie można wiedzieć, co się człowiekowi w życiu przyda.

(*Za sceną słychać muzykę — może być square dance, lub kadryl*).

GUSTAW (*do wszystkich*):

Czy mogę państwa prosić? (*wskazuje na drzwi w głębi*). Nasza muzyczka już zaczyna. Proszę do salonu!

(*Wszyscy wychodzą rozmawiając, zostaje Joanna, Agata, Gustaw, Alek i Marecki*).

MARECKI (*zbliża się do Agaty, stojącej teraz koło Alka*):

Czy mogę panią prosić?

AGATA (*zaskoczona*):

Nie wiem, czy... (*zwraca się do Alka*). Alku czy...?

ALEK:

Proszę cię, proszę, tańcz. Muszę tu jeszcze karty uporządkować. Zaraz przyjdę i odbiorę panu danserkę.

MARECKI (*z mocnym akcentem*):

A jeżeli nie oddam?

AGATA (*żywo*):

A któż się pana będzie pytał! Sama pójdę. Alek zawsze ma pierwszeństwo! (*Gustaw, Joanna i Alek wybuchają śmiechem — Agata do Mareckiego*): Chodźmy!

(*Wychodzą — Pan I wraca, zbliża się do Joanny*).

PAN I (*kłaniając się*):

Czy mogę panią prosić?

(*Joanna lekko schyla głowę na znak zgody — wychodzą*).

GUSTAW (*patrząc na Alka układającego karty*):

Zostaw to i chodźmy do salonu.

(*Przez cały czas rozmowy słychać z daleka muzykę*).

ALEK:

Muszę ułożyć. To są specjalne karty.

GUSTAW (*z uśmiechem*):

Marecki ma rację. Robisz to, jak zawodowiec.

ALEK (*układając karty*):

Ma rację. Od jutra już nic innego mi nie pozostaje, jak przejść na zawodowca. To jedyny konkretny fach, jaki posiadam (*mówi lekko, niepoważnie*). Zgłoszę się do związku, zdam egzamin — może przyjmą?

GUSTAW (*nagle poważniej*):

Jak to... więc?

ALEK (*lekko*):

Już po wszystkim.

GUSTAW:

Niczego nie dało się uratować? (*Alek tylko przeczy głową*). Nie mówię już o fabryce, bo musiała przejść na Wernerów, ale dom! Chociaż dom!

ALEK (*wciąż nie patrząc na niego, jakby tylko zajęty kartami*):

Nie wystarczyło. Wszystko zostało sprzedane.

GUSTAW (*podniecony*):

Za ile?

ALEK (*lekko*):

Nawet nie wiem dobrze, w każdym razie wszystkie zobowiązania wyrównane.

GUSTAW:

Kiedy sprzedałeś?

ALEK:

Dziś rano.

GUSTAW:

Dom? Razem z urządzeniem?

ALEK:

Ze wszystkim.

GUSTAW:

No, a ty?

ALEK (*nawet wesoło*):

Nie, mnie nikt nie kupił. Widocznie nie chcieli.

GUSTAW:

Nie żartuj. Pytam, gdzie się przeniosłeś?

ALEK:

Dziś jeszcze mieszkam w domu. Jutro — nie wiem, gdzie się podzieję.

GUSTAW:

Natychmiast musimy coś znaleźć... (*zastanawia się*) Mógłbyś przenieść się do nas chwilowo, ale właśnie wczoraj Werka przyjechała, a drugi gościnny w odnowieniu... Pomówię z Joanną.

ALEK:

Dziękuję ci serdecznie, ale nawet nie mógłbym przyjąć...

GUSTAW:
Głupstwo. Przyjaciel jesteś, domowy, nie gość. (*nagle*). Ostatecznie mógłbyś zamieszkać w moim gabinecie, zaraz pomówię z Joasią...

ALEK (*skrępowany*):
Dziękuję ci, na prawdę serdecznie dziękuję, ale — nie mogę.

GUSTAW:
Werka za dwa tygodnie wyjedzie. Przez ten czas przenieś się do hotelu, a potem...

ALEK (*śmieje się*):
Nie wiem nawet, czy i na hotel wystarczy.

GUSTAW (*zaskoczony*):
Jak to?!!

ALEK (*wkłada rękę do kieszeni, wyciąga kilka srebrnych monet, potem pokazuje podszewkę kieszeni*):
Zdaje się, że to wszystko, co mi zostało.

GUSTAW:
Więc aż tak? (*po chwili*). Potworne... (*jakby się zastanawiał*). Myślałem, że chociaż dom ci zostanie.

ALEK:
Nic. Ani jednego mebla, ani jednego obrazu nie przepuścili... (*bawiąc się kartami*). Nawet biżuteria po matce poszła... A tak chciałem kilka drobiazgów zatrzymać dla Agaty!

GUSTAW (*żywo*):
Tam były piękne brylanty!

ALEK (*swobodnie*):
Były. Ale ich nie ma.

GUSTAW:
Dlaczegoś się nie bronił? (*zaczyna chodzić po pokoju — zdenerwowany*).

ALEK (*j.w.*):
Jak? Wiesz, że interesy fabryki były w fatalnym stanie. Werner miał już 50 procent akcji. Procenty rosły, ojciec wystawiał mu weksle. Ostatnie nawet bardzo krótkoterminowe. Liczył na pożyczkę...

GUSTAW (*zatrzymuje się*):
I byłby dostał! Wiem przecież.

ALEK:
Cóż... nagła śmierć przerwała pertraktacje i...

GUSTAW:
Tak, tak, ale... (*zastanawia się*).

ALEK:
No a Werner starszy postawił mi warunek, że albo sprzedam mu od razu całość,wtenczas zwróci weksle i zaległości skreśli, albo dom zatrzymam i część weksli będę musiał do pół roku wykupić.

GUSTAW (*żywo*):
Trzeba się było zgodzić. Dlaczegoś się nie zgodził?

ALEK:
A z czego za pół roku Wernera spłacę?

GUSTAW (*pociera czoło*):
Straszne, straszne... Ale pół roku... Trzeba się było zgodzić i małżeństwo z Agatą przyspieszyć.

ALEK (*dopiero teraz poważnie*):
Moje małżeństwo z Agatą musi być odroczone. Teraz, kiedy nie mam ani grosza, nie chcę myśleć o małżeństwie.

GUSTAW:
Właśnie teraz! Agata samą gotówką reprezentuje 100.000, nie mówiąc już o fabrykach starego. Stary cię lubi i byłby zapłacił.

ALEK (*dopiero teraz interesuje się rozmową*):
Zlituj się Gustawie, jakie ty masz o mnie wyobrażenie! Jakim czołem zaprowadziłbym Agatę do ołtarza! Ani grosza w kieszeni, żadnego zawodu, byłem przecież tylko sekretarzem papy — i zostając mężem Agaty teraz, nietylko że nie mógłbym jej wprowadzić do własnego domu, ale musiałbym zabrać kuferek i prosić teścia o gościnę. Nic innego. I nawet nie mógłbym tej gościny odpracować, bo na jego fabrykach się nie znam.

GUSTAW:
Straszne, straszne... zostać nagle bez pieniędzy! Jednak nie trzeba się było godzić na warunki Wernera. Dlaczegoś się mnie nie poradził?

ALEK:
Co byś zrobił? A nóż miałem na gardle i Werner groził licytacją. To byłoby o wiele gorzej.

GUSTAW:
Tak, tak, ale powtarzam... Trzeba było dom zatrzymać, małżeństwo z Agatą przyspieszyć, po ślubie Agatę wprowadzić do domu... Ostatecznie stary nie musiałby o wszystkim wiedzieć... Mieszkanie piękne, meble wspaniałe, wszystko wyglądałoby w porządku...A do pół roku spłacić Wernera pieniędzmi Agaty.

ALEK (*stanowczo*):
I od razu małżeństwo z dziewczyną, która mi ufa, zaczynać od kłamstwa?

GUSTAW:
Ależ tu nie ma mowy o żadnym kłamstwie! Poprostu byłoby to tylko przesunięcie pewnych terminów, przez co wykazałbyś spryt w interesach. Stary by to ocenił. A tak? Głupio, bardzo głupio się stało... Przepraszam cię, że tak mówię, ale inaczej tego nazwać nie mogę. Bo teraz możesz stracić Agatę i co zrobisz?

ALEK (*zdziwiony*):
Agatę? To chyba jej nie znasz. Agata zaczeka na mnie.

GUSTAW:
Może zaczeka, ale inni nie dadzą jej czekać. Teraz rozumiem! Musiał Marecki już coś zwąchać, bo od jakiegoś czasu nie odstępuje Agaty. To tak... Aha... (*po chwili*) Nie, mój drogi, romantyczne plany, dobre w powieściach, ale nie w życiu. A jak wyglądało moje małżeństwo z Joanną? Była zaręczona z kim innym, a sprzątnąłem kawalerowi pannę sprzed nosa.

ALEK.
Nie zapominaj, że miałeś za sobą swoje niesłychane zdolności i fach w ręku, gdy ja...

GUSTAW (*śmieje się*):
Jakie zdolności? Miałem parę dziurawych butów i trochę tu! (*uderza się w czoło*). Tylko że nie filozofowałem, okazję chwyciłem za łeb, bez skrupułów i dziś co? Dzięki pieniądzom żony, w ciągu 10 lat, stanąłem na czele koncernu teścia, a jeżeli chodzi o samo małżeństwo, to lepszego nie znajdziesz.

ALEK:

Ale miałeś fach, powtarzam, coś przedstawiałeś.

GUSTAW:

Jaki fach? Nieskończony dyplom inżynierski, nic więcej. Ale teściowi o tym nie mówiłem. Do dziś dnia nie wie i nazywa mnie inżynierem. Naturalnie zachowaj to dla siebie.

ALEK:

Nie bój się. A Joanna?

GUSTAW:

Cóż, żonie nie należy mówić wszystkiego. Zresztą Joannę to nie obchodzi. Jest dziś żoną prezesa Rady nadzorczej, nie inżyniera Tak, mój drogi, tak trzeba postępować. A ty sobie wyobrażasz, że stary da ci teraz Agatę. Właścicielowi Asfatu, choćby w złym stanie interesów oddałby córkę, ale niebieskiemu ptakowi, który nie ma nawet własnego mieszkania — córki nie da. Agatę gotów wziąć Marecki. To człowiek obrotny, głowa otwarta i...

ALEK (*akcentując*):

Zdaje się, że Agata też ma tu coś do powiedzenia.

GUSTAW (*na śmiechu*):

Tylko biedną pannę ktoś pyta o zdanie Bogata panna jest bez znaczenia, stanowi środek, rozumiesz? Celem są jej pieniądze, nic więcej. A Marecki jest energiczny. i widać orientuje się w sytuacji... tak... Jeżeli dobrze zakręci się koło starego...

ALEK:

Jutro mam mówić z ojcem Agaty i sądzę, że mnie zrozumie. Sam przecież doszedł do majątku tylko praca. Opowiadał mi. Zaczynał od niczego. od warsztatu na kółkach.

GUSTAW (*lekceważąco*):

Ale też długo czekał, zanim pierwszą fabrykę z tych kółek zrobił. Zresztą 50 lat temu można było zdobywać fortuny pracą. Dziś już wyszło z mody. Dziś trzeba tylko sprytu. (*po chwili*) Co chcesz robić?

ALEK:

Nie wiem. Daję sobie rok czasu. Chcę wyjechać.

GUSTAW:

Dokąd?

ALEK:

Do Afryki. Tam jest gdzieś stryjeczny ojca. Podobno nieźle mu się powodzi. Chce mi dać pracę u siebie.

GUSTAW (*zaciekawiony*):

A! Więc nawiązałeś z nim kontakt!

ALEK:

Pisałem. Zaproponował mi przyjazd.

GUSTAW:

Czemuś mi o tym nie mówił! Pieniądze przysłał?

ALEK:

Pieniądze? Nie pisałem do niego o pieniądzach.

GUSTAW (*po chwili*):

Może i lepiej.

ALEK:

Prawda? Nie wypadało o pieniądzach pisać.

GUSTAW:

Naturalnie. Na miejscu znacznie więcej od niego dostaniesz. Ale za co chcesz wyjechać?

ALEK (*bezradnie*):

Właśnie się zastanawiam... Nie, o pieniądze prosić nie wypadało... Wuj radził tylko, żeby zaraz przyjechać, bo koniunktura dobra... To jakieś interesy drzewne... Nie, o pieniądzach nie pisałem, nawet nie myślałem o tym...

GUSTAW (*nerwowo*):

Dobrze, ale za co wyjedziesz?

ALEK (*znów bezradnie*):

Nie wiem... Wszystko stało się tak nagle... Myślałem, że może coś z biżuterii zostanie... Choć i tak bym nie sprzedał, bo to pamiątki po mamie... Agacie dać chciałem... Nie wiem co, zrobię... Może gdzie pożyczę.

GUSTAW (*prędko*):

Tylko na mnie nie licz, bo...

ALEK (*wpada w słowa — zdziwiony*):

Nie myślałem o tobie.

GUSTAW:

Mówię wprost, bo szczery z tobą jestem, jak z nikim. Nie mam teraz zupełnie gotówki. W tej chwili dochody nie są najlepsze, a wydatki bieżące potworne! Weź na przykład dzień dzisiejszy: przyjęcie skromne, bo nie chcieliśmy wielkiego balu wydawać, ale dziesięciolecie ślubu, rozumiesz... Nie mogłem Joasi zostawić bez prezentu, a choć dzisiaj należę do najzamożniejszych ludzi w kraju, przecież taki prezent jest dość kosztowny.

ALEK (*jakby dopiero teraz zrozumiał*):

Wasze dziesięciolecie? Nie wiedziałem... (*bardzo serdecznie*) Na prawdę, wybacz mi, ale głowę miałem tak zajętą... (*podchodzi do niego, wyciąga rękę*). Moje najserdeczniejsze życzenia... Najserdeczniejsze...

GUSTAW (*ściskając podaną rękę*):

Dziękuję ci, dziękuję... Wiem, drogi, że mi dobrze życzysz, i dlatego pragnę, żeby twoja pierwsza rocznica ślubu wypadła przynajmniej od dziś za półtora roku. Urządzimy wtenczas przyjęcie!

ALEK (*z rezerwą*):

Dziękuję ci, ale najprędzej za dwa lata będziesz miał tę przyjemność.

GUSTAW (*gorąco*):

Alku, zastanów się, nie wypuszczaj okazji z ręki. Do tego stopnia chcę ci pomóc. że jestem gotów jutro rano pomówić z Wernerem, żeby pozwolił ci przez pół roku mieszkać w domu. Werner to zrobi, Werner musi się liczyć ze mną. Twoje chwilowe wydatki pokryję sam, byleby tylko doprowadzić do ślubu.

ALEK (*z uśmiechem*):

Już się zastanowiłem. Widzisz, nietylko kocham Agatę, ale starego tak polubiłem, że... nie chciałbym go oszukiwać.

GUSTAW (*kiwa tylko głową*):

Ile ty masz lat?

ALEK (*zdziwiony*):

Trzydzieści.

GUSTAW:

Rozumujesz, jakbyś miał piętnaście.

ALEK (*z rezerwą*):

Może... ale myślałem, że tak będzie uczciwiej.

GUSTAW (*śmieje się*):

Mówisz, jakbyś miał dziesięć... (*w drzwiach w głębi staje Joanna i Agata*). Radzę ci, zastanów się... Dziś jeszcze możesz mi dać odpowiedź, a zabiorę się do sprawy energicznie.

JOANNA (*nagle*):

Znów rozmawiacie o interesach? Guciu, przynajmniej w naszą rocznicę mógłbyś ze mną zatańczyć!

AGATA:

Alku, chyba skończyłeś już układać karty!

ALEK (*roztargniony*):

W tej chwili służę ci, Agato... (*składa karty*).

GUSTAW:

Nie rozmawiamy o interesach, tylko gawędziliśmy sobie... Naturalnie, Joasiu... (*podchodzi do żony, podaje jej ramię ruchem zbyt wyszukanym*). Proszę cię... (*wychodzą*).

ALEK (*zbliżając się do Agaty*):

Myślałem, że tańczysz jeszcze.

AGATA:

Tańczyłam, ale chwilkę. Czekałam na ciebie. Czego chciał od ciebie Gustaw?

ALEK (*z lekkim zakłopotaniem*):

Powiedziałem mu wszystko. I wiesz co? (*coraz bardziej zakłopotany*). Namawiał mnie, żeby, przyspieszyć termin naszego ślubu, papie nic nie mówić i w ten sposób uratować moje finanse... (*jest nawet zawstydzony*). Nie spodziewałem się tego po nim... Jacy ludzie są dziwni!

AGATA (*otwarcie*):

Choć nigdy o Gustawie nie miałam zbyt wysokiego mniemania, ale tym razem bardzo mądrze radził. Czekałam na ciebie, bo chciałam ci powiedzieć, że mówiłam z papą i papa jest zdania, że...

ALEK (*przerywa jej, całując w obie ręce*):

Dziękuję ci kochanie... To mi ułatwia sytuację, bo jutro chciałem właśnie z papą mówić.

AGATA:

Otóż papa zadecydował...

ALEK (*lekko*):

Jutro pomówimy, jutro, nie dziś. Dziś się jeszcze bawimy. (*kłania się*) Czy mogę cię prosić?

AGATA (*nie zwraca uwagi na ukłon*):

Zaraz, tylko muszę ci powiedzieć, że...

ALEK (*przysuwa twarz do jej twarzy — cicho*):

...że mnie kochasz?

AGATA (*głos jej mięknie*):

Bardzo.

ALEK (*coraz ciszej*):

I będziesz czekała?

AGATA (*wraca do zwykłego, trzeźwego tonu*):

Zdaje się, że nie.

ALEK (*od razu odsuwa się od niej*):

Dziś rano przyrzekłaś...

AGATA:

Ale po południu zmieniłam zdanie... (*śmieje się — Alek nie odpowiada*). O co ci chodzi?

ALEK:

A mnie tak zależy na tobie... Świadomość, że czekasz na mnie, tak by mi pomogła...

AGATA:

Dlatego posłuchaj, co papa zadecydował. (*muzyka milknie, słychać gwar głosów*). Otóż jest zdania, że...

(*W tej chwili całe towarzystwo wchodzi do pokoju. Pierwsza Joanna*).

JOANNA (*rozbawiona*):

Zaraz przyniosę! (*spostrzega Alka i Agatę*). A, tu sobie gruchacie! (*woła przez drzwi w głębi*) Guciu! narzeczeni są tutaj! (*do wszystkich*) Zaraz przyniosę! (*wybiega drzwiami po prawej — do pokoju wchodzi Gustaw z Mareckim*).

MARECKI (*zbliżając się do Agaty*):

Szukałem pani, a pani tu się schowała.

AGATA (*nieco opryskliwie*):

Wcale się nie schowałam. Jasne, że moje miejsce jest koło Alka. (*do wszystkich*) Tańce już skończone?

PAN I:

Przerwaliśmy tylko na chwilę. Wszyscy są strasznie ciekawi prezentu, jaki pani Joanna dostała dziś od męża.

PANI I:

W dziesięciolecie! Tyle lat! Okropna rocznica!

PAN II:

Im starsza, tym podarek mocniejszy.

PAN I:

Panie prezesie, a co pan żonie ofiarował?

GUSTAW (*niezmiernie uprzejmie*):

Za chwilę państwo zobaczą.

WERKA:

A ja wiem, wiem! Dziś rano widziałam. Myślałam, że z krzesła spadnę!

(*Śmiech — wchodzi Joanna, w ręce trzyma niewielkie pudełko*).

JOANNA:

Proszę... (*otwiera pudełko, wyjmuje z niego broszkę*). Oto co dziś od męża dostałam z życzeniami! (*pokazuje broszkę — okrzyki zdumienia*)

PANI I:

Cudne! Pokaż! (*Joanna podaje*).

PANI II:

Cóż za wspaniała broszka! (*bierze z rąk Joanny, której już Pani I oddała broszkę*).

WERKA:

Ale oprawa! Oprawa! (*wszyscy nachylają się nad broszką. Broszka przechodzi z rąk do rąk*).

PAN I (*oglądając — do Gustawa*):

Ten środkowy brylant jest doskonały.

GUSTAW:

Wszystkie jednakowe, bo te boczne są tej samej wody...

PAN I:

Ile karatów?

GUSTAW:

Pięć. Boczne mają po dwa.

PAN I (*oglądając*):

Raz, dwa i tu dwa, to razem... trzynaście. Trzynaście karatów!

GUSTAW (*ze sztuczną skromnością*):

Szesnaście, bo te w oprawie mają po pół karata.

PAN I:

A jest ich... (*liczy*) Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

MARECKI (*pochylając się nad broszką*):

Pan pozwoli, niech się przypatrzę... Co za ognie!

PAN II:

Cudownie szlifowane. Butony mojej żony mają po cztery karaty i robota nie tak precyzyjna.

PANI I:

Są śliczne, niech pan nie narzeka!

PAN I:

Ja nie, ale żona często narzeka. (*ogólny śmiech*).

PANI II:

Pierścionek pani Wernerowej ma siedem karatów.

WERKA:

Ale jest żółtawy, to już nie to samo. Patrz, te mienią się jak woda!

GUSTAW (*tonem luźnej uwagi*):

Bo to są czystej wody „weiss-blau".

PAN II:

Gdzie pan to dostał, prezesie?

GUSTAW (*jakby nic przywiązując wagi*):

O, już rok temu zamówiłem.

PAN I:

Najciekawsze, że tak dobrane...

PAN II:

Zazwyczaj tylko środkowy bywa piękny, a boczne już słabsze... A tu jeden w drugi!

GUSTAW (*ostentacyjnie*):

Dla czystej wody małżeństwa czystej wody brylanty. (*całuje żonę w rękę — Pan I oddaje broszkę Joannie*).

PANI I (*biorąc broszkę od Joanny*):

Pozwól, niech się jeszcze przypatrzę... (*przykłada do sukni, podchodzi do lustra*).

WERKA (*stając koło niej*):

Dobrze też wygląda na ramieniu.

PANI II (*biorąc broszkę od Pani I — przygląda się w lustrze*):

Można wpiąć we włosy. Szalenie lubię brylanty we włosach... (*przykłada do włosów*).

PANI I:

Pokaż... (*przygląda się Pani II*).

WERKA:

Próbowałam dziś rano na ramieniu i świetnie wyglą-da... (*bierze broszkę z rąk Pani II. Odwraca się do lustra, jest zasłonięta przez panie. Panowie przysuwają się ku kobietom — w tej chwili słychać okrzyk „Ach!"*).

JOANNA (*niespokojnie*):

Uważaj! Weruniu!

WERKA (*odwraca się, schyla, jakby chciała coś podnieść z ziemi*):

Nic się nie stało... Tu upadła... (*szuka, nie widzi broszki*). Może panie zechcą się trochę odsunąć... (*pochylona szuka*).

JOANNA (*cicho*):

Nie widzę!

PANI I:

Zaraz, może pod kotarą... (*podnosi kotarę, szuka*).

PANI II:

Może zaczepiła tylko o kotarę... (*Pan I strzepuje kotarę*).

WERKA (*niespokojnie*):

Przecież tu stałam! (*wskazuje na miejsce*).

PAN II:

Może pod dywanem!

JOANNA:

Niemożliwe. Nie ma żadnej szpary. (*Gustaw zbliża się do Joanny*). Uważaj, Guciu, żebyś nie stanął na broszce!

GUSTAW (*odsuwa się, ogląda podłogę*):

To na prawdę ciekawe. (*do wszystkich*) Niech się wszyscy cofną... i ty, Joasiu...

JOANNA:

Tylko ostrożnie, żeby nie nastąpić.

PAN I:

Nic się nie stanie, brylant nie pęknie.

PAN II:

Ale oprawa...

GUSTAW (*gdy wszyscy cofnęli się pod ścianę, ogląda podłogę, szuka pod kotarą, obok — po chwili, nieco zmienionym głosem*):

Proszę państwa... Może państwo zechcą spojrzeć... bo ja nie widzę tu nigdzie broszki!

(*Wszyscy zbliżają się do Gustawa*).

PAN I:

Przecież to nie szpilka.

MARECKI:

Niemożliwe. Szesnaście karatów oprawnych w platynę, na podstawie, z zamkiem, to nie drobiazg, to duży przedmiot!

GUSTAW (*akcentując*):

Ale nie ma.

MARECKI:

Nie ma. Znikła.

WERKA (*nerwowo*):

Szukajmy wszyscy! Proszę, niech wszyscy mi pomogą. To moja wina... (*dotyka dywanu, podnosi kotary, odsuwa fotel*).

PAN I:

Przez jakiś fenomen natury mogła się potoczyć dalej...

GUSTAW:

Wykluczone! Płaska przecież!

PAN I:

Dlatego mówię, przez fenomen natury. Może pod ścianą... pod drugą zasłoną... (*wszyscy szukają — po chwili*). Już sam nie wiem, bo tu na prawdę nic ukryć się nie mogło.

WERKA (*zrozpaczona*):

Joasiu, tak mi przykro, to moja wina...

JOANNA (*stara się pocieszyć*):

Cóż znowu, taka sama twoja, jak i moja.

WERKA:
Tu stałam, na tym miejscu i...
GUSTAW (*głośno*):
Proszę państwa, to na prawdę zadziwiające. Robimy wizję lokalną. Proszę... Werka stała tutaj, koło niej Joanna...
PANI I:
Ja stałam tu, po lewej...
PANI II:
Ja za Werką...
MARECKI:
Ja koło panny Agaty.
AGATA:
Alek stał z tej strony...

(*Wszyscy ustawiają się tak, jak w poprzedniej scenie*).

GUSTAW:
Ja stałem tutaj. Joasia podała broszkę...?
PANI I:
Mnie podała, a ja dałam pani... (*wskazuje na Panią II*).
PANI II:
Nie, ja wzięłam od Joanny...
PANI I:
Tak, tak, bo ja oddałam Joannie...
JOANNA:
A ja podałam tobie...
PANI II:
Ja przyłożyłam do włosów...
WERKA:
A ja wzięłam od pani, tak, od pani i przyłożyłam sobie do ramienia.
GUSTAW:
Tu stałaś?
WERKA:
Na pewno. Położyłam sobie na ramieniu, broszka się ześlizgnęła i zanim zdołałam chwycić, upadła... (*wskazuje na podłogę*) tutaj.
GUSTAW:
Widziałaś?
WERKA (*po zastanowieniu*):
O to właśnie chodzi, że na ziemi już nie widziałam.
PANI I:
Nikt z nas nie widział.
GŁOSY:
Ani ja! Nie widziałam! Widzieć, nie widziałam!
WERKA:
Ale schyliłam się, bo logicznie rzecz biorąc, jeśli tu stałam i broszka ześlizgnęła się z ramienia, to nie mogła nigdzie indziej upaść, tylko tu...
MARECKI:
Tak... logicznie rzecz biorąc... (*namyśla się*).
GUSTAW:
Ale teraz trzeba rzecz brać nielogicznie. Proszę państwa, niech nikt nie ma do mnie pretensji i źle mnie nie rozumie, ale trzeba rzecz wziąć nielogicznie i proszę, żeby każdy szukał — przy sobie.
PAN I (*zdziwiony*):
Co pan prezes przez to rozumie?
GUSTAW:
Poprostu — niech się pan na mnie nie gniewa — ale przez jakiś fenomen, o którym sam pan wspominał, mogła upaść nie na ziemię, tylko...
JOANNA (*cicho*):
Guciu, proszę cię...
GUSTAW (*głaszcząc ją po ręce*):
Spokojnie, Joasiu, spokojnie, nie bój się, zaraz się wyjaśni... (*do wszystkich*) Mogła upaść... no... (*szuka określenia*).
PANI II (*na śmiechu*):
Proszę bardzo... nie mam kieszeni, nie mam torebki... proszę! (*ruchem tanecznym podnosi ramiona*).
PANI I:
Ja mam torebkę, ale nic mi nie szkodzi, jeżeli ktoś zechce ją oglądnąć...
GUSTAW (*niesłychanie uprzejmie*):
Droga pani, nie o tym myślałem, na prawdę proszę mnie źle nie rozumieć, ale państwo sami przyznają, że to jest więcej niż zdumiewające i trzeba zrobić, co możliwe, żeby zagadkę wyświetlić.
WERKA: (*zmartwiona*):
Co ja zrobiłam...! Moja wina.
GUSTAW:
Uspokój się, Weruniu. Przecież broszka jest w tym pokoju, tylko jej nie widzimy...!
PAN II (*nieco zdenerwowany*):
Panie prezesie... (*pokazuje wewnętrzne kieszenie ubranie*). Tu moje kieszenie... tu klapy... Jeżeli panie nie mają nic przeciwko temu, mogę zdjąć marynarkę. (frak) — (*wszyscy wybuchają śmiechem*).
MARECKI (*śmieje się nieprzyjemnie*):
Ależ moi państwo, jeżeli broszka miałaby się znaleźć pod klapą ubrania któregoś z nas, to już nie fenomen, to zakrawa na sztuczkę karcianą!

(*Wszyscy nagle milkną, patrzą na Alka, ten śmieje się beztrosko — wszyscy wybuchają śmiechem*).

PAN I:
Farsa! Słowo daję, żebym sam nie był świadkiem, nigdy bym nie uwierzył.
PANI II:
Najlepiej w ogóle przestać szukać, a zaraz sama się znajdzie.
PAN II:
To zmowa przedmiotów martwych. Ręczę, że broszka teraz siedzi sobie gdzieś w kącie i śmieje się z nas do rozpuku!
GUSTAW (*siląc się na wesołość*):
Jak i ten, kto nam ten żart zrobił.
MARECKI (*patrząc znacząco na Gustawa*):
Myśli pan?
GUSTAW:
Teraz jestem przekonany. Zanim przestaniemy tańczyć, będziemy się śmiać z nim razem!

MARECKI:

Może... ale jeżeli żart — to niesmaczny.

GUSTAW:

Bardzo nawet... (*głośno, do wszystkich, siląc się na wesołość*) Sądzę, że nasz kwartet nastrój poprawi! (*woła przez drzwi do salonu*) Panie dyrygencie! Prosimy o walca! (*do gości*) A my oboje z żoną prosimy państwa do kotyljona! Pan Marecki prowadzi! (*Marecki kłania się lekko*). Może zechce pan poprosić Agatę?

AGATA (*stanowczo*):

Tańczę z Alkiem!

GUSTAW:

Tym razem Alek tańczy z moją żoną. Alku, proś Joannę! (*gdy Alek podchodzi do Joanny, Gustaw lekko przytrzymuje jej rękę, by została — zwraca się do wszystkich*) Proszę! Para za parą! Para za parą! (*wszyscy wychodzą. Gdy Alek podaje ramię Joannie, Gustaw szybko zatrzaskuje drzwi do salonu*). Nie, zostaniesz tutaj. Sami sprawę załatwimy między sobą (*patrzy wyzywająco na Alka, daje znak Joannie, by usiadła*).

(*Z daleka, przez cały czas rozmowy słychać orkiestrę grającą walca*).

ALEK (*zdziwiony*):

O czym mówisz?

JOANNA:

Guciu, błagam cię!

GUSTAW (*do Joanny*):

Zostaw. Wiem, co robię. Nic nie mów. Potrzebna jesteś tylko jako świadek. (*po chwili zwraca się do Alka, mówi cicho, ale stanowczo*) Alku, proszę cię, żebyś już skończył z tym żartem.

ALEK (*coraz bardziej zdziwiony*):

Z jakim żartem?

GUSTAW (*stara się mówić dobrodusznie*):

Nie udawaj. Raz jeszcze podkreślam, że uważam to za ż a r t t y l k o i jako żart chcę traktować. Żart — rozumiesz?

ALEK (*j.w.*):

Nie, nic nie rozumiem.

GUSTAW (*z lekką ironią*):

Więc muszę mówić inaczej... Proszę cię, oddaj mi broszkę.

ALEK (*zaskoczony*):

Broszkę???

GUSTAW (*patrząc mu w oczy*):

Tak. Broszkę, którą schowałeś dla — żartu.

ALEK (*teraz dopiero rozumie, twarz mu się rozpogadza, zaczyna się śmiać*):

O to chodzi! Gustawie, czego ty chcesz ode mnie! Skąd mogę wiedzieć! Jak i ty, nie wiem, gdzie się podziała.

GUSTAW (*wciąż patrząc mu w oczy*):

Jak i ja, wiesz, co się z nią stało.

ALEK (*na śmiechu*):

Zlituj się, nie jestem jasnowidzem!

GUSTAW (*cicho, dobitnie*):

Jasnowidz, czy kuglarz, wszystko jedno, ale oddaj mi natychmiast broszkę.

JOANNA (*cicho*):

Guciu...

ALEK (*przestaje się śmiać, poważniej*):

Słowo ci daję, że znów nie rozumiem, o co ci chodzi.

GUSTAW:

Dałem ci już dwukrotnie szansę. Odrzucasz? Dobrze, będę mówił jeszcze wyraźniej. (*ostro, nieprzyjemnie*) W tej chwili zwrócisz broszkę, którą zabrałeś!

JOANNA (*bliska płaczu*):

Guciu, proszę cię...

ALEK (*poważnie*):

Czyś ty oszalał?

GUSTAW (*z tajoną pasją*):

Jestem przy zdrowych zmysłach. Wyjątkowo zdrowych, bo naraz widzę wszystko jasno, jak na dłoni.

ALEK:

W takim razie mówimy rozsądnie. Podejrzewasz mnie, że zabrałem Joannie broszkę.

GUSTAW:

Nie podejrzewam wcale, uważam, że zrobiłeś to dla — żartu.

ALEK:

Tak głupich żartów nigdy nie robię.

GUSTAW:

Ale dziś wyjątkowo zrobiłeś. Dlatego raz jeszcze pytam — oddasz, czy nie?

ALEK (*stanowczo*):

Nie.

GUSTAW:

Dlaczego?

ALEK:

Bo jej nie mam.

GUSTAW (*z trudem panuje nad sobą*):

Słuchaj, daję ci ostatnią szansę. Rozumiem, że dziś jesteś zdenerwowany, że po tym, co cię spotkało, możesz mieć umysł zaćmiony i szukając wyjścia z sytuacji nie zastanowiłeś się nad tym, co robisz. Przede wszystkim nie zastanowiłeś się nad konsekwencjami.

ALEK:

Konsekwencjami? Jakie mogą mnie czekać konsekwencje?!

GUSTAW:

Takie, że jeżeli nie oddasz broszki dobrowolnie i nie obrócisz wszystkiego w żart, z którego za chwilę całe towarzystwo będzie się śmiało, mogę przedsięwziąć kroki bardzo ostre.

ALEK (*lekko*):

Proszę cię, nie krępuj się. Jeżeli uważasz, że tak powinieneś postąpić, to... (*wzrusza ramionami*).

GUSTAW:

Właśnie że się krępuję i ty wiesz o tym. Nie chcę cię niszczyć zupełnie i nie chcę narażać siebie. Chcę z tobą pójść na ugodę, bo zawsze byłeś moim przyjacielem.

ALEK:

Przyjacielem być nie mogłem. Przyjaciela nie podejrzewa się o kradzież.

JOANNA (*zrywa się z fotela*):

Nie pozwolę, żeby w moim domu takie słowa padały! Dość już tego! Guciu, dość! (*placze*).

GUSTAW:

Jeżeli ty, Joasiu, nie pozwalasz na słowa, to ja nie pozwolę, żeby takie rzeczy się u mnie w domu działy!

JOANNA:

Guciu, jak możesz... jak możesz...

GUSTAW:

Mogę i mam do tego prawo.

ALEK (*ostro*):

Jakie?

GUSTAW:

Prawo uczciwego człowieka, który zna twoje położenie. A twoje sztuczki kuglarskie już nieraz widziałem.

JOANNA:

Guciu! Alek? Właściciel Asfatu? Dlaczego Alek miał by zrobić? Po co?

GUSTAW:

Bo potrzebuje pieniędzy. Ot, po co! Wiedz, że właścicielem Asfatu już nie jest. Stracił wszystko, jest zupełnym nędzarzem, nie może sobie pozwolić nawet na pokój w hotelu. Trzeba, żebyś wiedziała. Cały majątek, jaki mu został, to kilka groszy w kieszeni. Pytałaś? Teraz już wiesz — dlaczego! (*Joanna słucha zdumiona*).

ALEK (*spokojnie*):

Z tego powodu sądzisz, że to ja?

GUSTAW:

Tak. Właściciel Asfatu nigdy by tego nie zrobił, ale człowiek bez majątku jest zdolny do wszystkiego.

ALEK (*wyciąga papierośnicę, powoli zapala papierosa*):

Myślisz?

GUSTAW:

Mój drogi, pleciesz głupstwa! Nie ma ludzi uczciwych i nieuczciwych. Są tylko bogaci i biedni. A ty jesteś biedny.

ALEK:

Ach. Tak...

JOANNA (*przez łzy*):

Alku, co się stało? Dlaczego tak się stało?

GUSTAW:

Nieważne, później ci opowiem. Teraz ważne jest, żeby Alek zwrócił nam broszkę.

ALEK (*nagle*):

Proszę cię, może chcesz przeprowadzić na mnie rewizję?

GUSTAW:

Przy twojej zręczności sam tego nie zrobię, a wciąż jeszcze nie chcę wzywać pomocy osób trzecich.

ALEK (*wzrusza ramionami*):

Jeżeli ja się godzę?

GUSTAW:

Wiesz doskonale, że nie chcę dopuścić do skandalu. Mój dom i moi goście mają nieposzlakowaną opinię. Nie chcę tej opinii narażać.

ALEK:

Najwyżej moja opinia będzie poszkodowana.

GUSTAW:

Ale to się stanie w m o i m domu. Dlatego nie pozwalam. A ty wiesz o tym! (*Alek nie odpowiada, chodzi teraz po pokoju, paląc spokojnie papierosa — Gustaw po chwili*) Słuchaj, widzę, że cię nie doceniałem. Jesteś sprytny, sprytniejszy nawet ode mnie. Poddaję się i idę z tobą na zupełną ugodę. Ile chcesz za broszkę?

ALEK (*zatrzymuje się, wzrusza ramionami*):

Skąd mogę wiedzieć? Nie znam wartości broszki.

GUSTAW:

Więc ci powiem. Dałem za nią 10.000... (*Alek tylko gwiżdże przez zęby ze zdumienia — Gustaw uśmiecha się z zadowoleniem*). Nawet nie przypuszczałeś, co? Sprzedać jej nie możesz, bo dziś jeszcze dam znać policji i opis pójdzie do wszystkich jubilerów. Będziesz mógł sprzedać tylko pokątnie. Dadzą ci za nią jedną dziesiątą wartości, czyli jeden tysiąc. (*mocno akcentując*) A ja teraz, w tej chwili, w obecności Joanny, wystawiam ci czek na dwa tysiące. Wystarczy?

ALEK (*lekko*):

Bardzo by się przydało.

GUSTAW (*z uśmiechem — jakby do siebie*):

Spodziewałem się tego.

JOANNA (*znów przykłada chusteczkę do oczu*):

To nie do wiary!

GUSTAW (*do Joanny*):

Uspokój się, kochanie, takie rzeczy się zdarzają... (*już uspokojony*) Zresztą wiedziałem, że tak się skończy. Alek jest za mądry, żeby broszkę chciał sprzedać. Nie — chciał tylko w ten sposób zmusić mnie do dania pieniędzy, bo przed godziną odmówiłem mu pożyczki.

ALEK (*spokojnie*):

O którą nigdy cię nie prosiłem.

GUSTAW:

No, nie słowami, ale... Więc układ stoi? (*podchodzi do Alka*) Dwa tysiące, oddajesz broszkę, a gościom oświadczymy, że znalazła się, powiedzmy, w fotelu. I jeszcze jedno! (*wskazuje na Joannę*) Oboje z Joanną przyrzekamy, że Agata o niczym się nie dowie.

JOANNA (*ocierając łzy*):

Przysięgam... nigdy... ani słóweczka...

ALEK (*gasi papierosa, chowa ręce do kieszeni, patrzy na nich uważnie*):

Jak to? Więc chcecie żeby Agata wyszła za złodzieja?

GUSTAW (*z uśmiechem*):

Jeżeli zawrzemy ugodę, to nie ma już mowy o złodziejstwie. (*śmieje się*) Teraz przynajmniej mam pewność, że nie zginiesz i tak dobrego interesu, jak ojciec Agaty, z ręki nie wypuścisz!... (*wyciąga rękę*) Więc zgoda?

ALEK (*nie wyjmując rąk z kieszeni*):

Niebardzo, bo do zawarcia umowy potrzebny jest jeszcze jeden warunek.

GUSTAW (*niespokojnie*):

Jaki?

ALEK (*lekko*):

Broszka.

GUSTAW (*j.w.*):

To znaczy?

ALEK (*j.w.*):

Trzeba ją mieć. A ja broszki nie mam.

GUSTAW (*po chwili*):

Słuchaj, mogę ci dodać jeszcze pół tysiąca, ale już ani grosza więcej.

ALEK:

Możesz dodać nawet drugich dwa tysiące, a to nie zmieni sytuacji. Nic na to nie poradzę.

GUSTAW (*teraz już nie panuje nad sobą — mówi twardym, grubiańskim tonem*):

To tak? Grasz na moim honorze? Na opinii prezesa? Na opinii człowieka, o którym wiadomo, że jest twoim przyjacielem? Dobrze. Wszystko mi jedno. (*podchodzi do telefonu, już sięga po słuchawkę*) Policja zajmie się tobą.

JOANNA (*prędko podchodzi do niego*):

Guciu, zlituj się! Tylko nie policja! Co za skandal! ! Tylko bez skandalu! Błagam cię, zostaw mu tę broszkę, niech z nią zrobi, co chce, ale nie dopuszczaj do skandalu! Pomyśl, twoje interesy! Mój ojciec! Rada Nadzorcza!

GUSTAW (*cofa rękę — zastanawia się — wreszcie mówi tonem człowieka przybitego*):

To właśnie. Ten szantażysta wie, czym mnie trzymać. Masz rację Joasiu. Lepiej stracić dziesięć tysięcy, aniżeli narażać dobre imię... (*znów w pasji*) Ale to mu nie ujdzie na sucho! Uderzę boleśniej, niż się spodziewa. Zapłaci drożej, aniżeli przypuszczał, że ode mnie wyłudzi! (*do Joanny — z nagłą decyzją*) Zostań tutaj i pilnuj, żeby się stąd nie ruszył... (*prędko wychodzi drzwiami w głębi. Joanna wciąż ociera oczy — Alek z rękami w kieszeniach, pogwizdując przez zęby, chodzi po pokoju. Za chwilę wraca Gustaw, prowadząc za rękę przestraszoną Agatę — do Alka*) To moja rozgrywka! (*Agata staje naprzeciw Alka — Gustaw mówi pełnym złości głosem*) Słuchaj, Agato, broszkę brylantową, która przed chwilą zginęła, ukradł Alek, twój narzeczony. Oddać nie chce i nie odda, bo wie, że nie mogę narażać opinii swojego domu. (*Agata patrzy zdziwiona to na Gustawa, to na Alka — ponieważ nie odpowiada, Gustaw znów mówi*) I wiedz, że Alek, twój narzeczony, ukrył przed tobą i twoim ojcem, że stracił majątek, bo wie, że jedynym wyjściem dla niego jest małżeństwo z tobą. Za pieniądze, jakie uzyska ze sprzedaży broszki, doprowadzi do waszego ślubu, a potem twoim posagiem spłaci długi. Trzeba, żebyś nareszcie o tym wiedziała! (*patrzy teraz z tryumfem na Alka*).

AGATA (*po chwili — bardzo spokojnie*):

Czy to już wszystko, co mi chciałeś powiedzieć o m o i m narzeczonym? (*przy słowie „moim", staje obok Alka — z daleka muzyka milknie, słychać gwar głosów*).

GUSTAW (*chwilę, jakby oniemiały*):

Jak to? Jeszcze...

(*Drzwi się otwierają, wbiega roześmiana Werka, za nią całe towarzystwo*).

WERKA (*trzymając w wyciągniętej ręce broszkę*):

Joasiu! Guciu! Broszka! Jest broszka! Znalazła się!

PAN I:

Była w falbanie sukni panny Werki!

PAN II:

Coś zdumiewającego! (*Gustaw bez słowa patrzy to na Werkę, to na Joannę*).

JOANNA (*z radością bierze broszkę z rąk Werki*):

Weruniu, Weruniu! Nie do wiary! Jak się cieszę! (*pokazuje Gustawowi*) Guciu, patrz!

PANI I:

Droga Joanno, zaraz schowaj!

PANI II (*obejmując Joannę*):

Biedactwo, aż płakała! Całe szczęście, już po wszystkim! Uspokój się!

JOANNA:

Nigdy nie byłam niespokojna! (*śmieje się*).

GUSTAW (*teraz dopiero odzyskał mowę — niepewnie*):

Ale jak... skąd...?

WERKA (*na śmiechu*):

Poprostu zsunęła się w falbanę. Że też na myśl mi to nie przyszło! Szukaliśmy wszędzie, ale nikt nie pomyślał o falbanie!

JOANNA:

Jak znalazłaś?

WERKA:

Tańcząc! Zrobiliśmy koło i pan Marecki tańczył ze mną w środku. Jak mną zakręcił...! (*okręca się w koło*) ..a tu szust! Broszka przez cały salon poleciała, aż pod orkiestrę! (*wybucha śmiechem — za nią wszyscy — Alek i Agata stoją na uboczu*).

PAN I:

Gdybym sam nie był świadkiem, nigdy bym nie uwierzył!

MARECKI:

Zdumiewający wypadek!

PANI II:

Ale że tak długo się trzymała! Przecież to ma swoją wagę!

MARECKI:

Cóż... szesnaście karatów.

PANI II (*do Joanny*):

Ale przyznaj, przykro ci było...?

JOANNA:

No cóż... Wiedziałam, że tak się skończy, spokojna byłam... bo gdzie by się podziała? (*mimo woli patrzy na Gustawa*).

PANI I:

Zawsze to nieprzyjemna sytuacja... (*do Pana II*) A pani domu ani przez chwilę nie dała poznać po sobie, choć musiało być jej przykro!

MARECKI:

I prezes był nadzwyczajny! Co za opanowanie!

PANI I (*do Mareckiego*):

Zupełnie zrozumiałe! Człowiek o kulturze prezesa nikomu nie chciał zrobić przykrości... A to tak łatwo zrobić komuś przykrość, zwłaszcza w takim wypadku! (*do Joanny*) Moja dzielna Joasia... Bardzo się cieszę...

WERKA (*całując Joannę*):

A ja cię przepraszam, bo to z mojej winy. Teraz przyznam, że czułam się strasznie. Ostatecznie broszka z moich rąk zniknęła! (*śmieje się*).

GUSTAW:

W takiej sytuacji każdy z nas czułby się fatalnie! Ale wiedziałem przecież, wiedziałem...

PAN II:

A nie mówiłem? Zmowa przedmiotów martwych. Broszka siedziała w falbanie sukni i śmiała się z nas do rozpuku.

MARECKI:

Bo też to jest świetny dowcip!

PANI II:

Żeby ktoś przez rok myślał, to by nie wymyślił.

GUSTAW (*już śmieje się ze wszystkimi — pogodny*):

Uczcić musimy! (*prędko podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę*) Antoni? Szampan proszę podać do oranżerii... (*słucha*) Gotowy? Podawać natychmiast! (*wiesza słuchawkę — do gości*) Proszę państwa! Przerywamy kotyliona i prosimy na dół do oranżerii! Pijemy specjalne zdrowie!

PAN I:

Broszki!

WERKA:

Duszków, które rzeczy chowają!

MARECKI:

Panny Werki!

PAN II:

Pani domu!

GUSTAW:

Wszystkich po kolei! Prosimy... (*wskazuje na drzwi, goście wychodzą śmiejąc się wesoło. Zostaje Gustaw, Joanna, Alek i Agata. Gustaw i Joanna patrzą na siebie. Gustaw wreszcie chrząka, podchodzi do Alka, wyciąga ku niemu rękę*) Alku, czy możesz mi przebaczyć?

ALEK (*jakby go nie widział, nie słyszał, zwraca się do Agaty — jakby nikogo innego nie było w pokoju*):

Agato, pozwolisz, że odprowadzę cię do domu?

AGATA (*wsuwając rękę pod jego ramię*):

Nie odprowadzisz, tylko pojedziesz ze mną. Przez cały wieczór nie dałeś mi przyjść do słowa. A chciałam ci powiedzieć, że papa kazał twoje rzeczy przenieść do siebie i będziesz już u nas mieszkał do czasu ślubu, póki dom, który dziś po południu odkupił od Wernera, nie będzie odnowiony... (*powoli kierują się ku drzwiom w głębi*). A jeżeli chodzi o ten twój interes w Afryce, to papa jutro z tobą pomówi, bo utrzymuje, że to bardzo dobry pomysł, doskonała lokata kapitału i możemy tam jechać razem... (*wychodzą, nie rzuciwszy nawet okiem na gospodarzy*).

GUSTAW (*po chwili — jakby dopiero teraz zrozumiał*):

Joasiu, przecież oni się z nami nawet nie pożegnali! Widziałaś?

JOANNA (*godnie*):

Wyszli z naszego domu, jak z restauracji!

GUSTAW (*po chwili*):

A może on się obraził? To taki głupi chłopak!

JOANNA:

Na ciebie? Przecież go przeprosiłeś.

GUSTAW:

Trzeba się będzie nad tym zastanowić, bo nie chciałbym z ojcem Agaty być w złych stosunkach... hm...

JOANNA:

Nie bój się, Alek do jutra zapomni!

GUSTAW:

To prawda! Teraz chodź! Nie można gości zostawiać samych!

JOANNA (*jakby kierując się ku drzwiom po prawej*):

Zaraz, tylko broszkę odniosę.

GUSTAW (*zatrzymując ją*):

Po co! Przypnij do sukni — nie masz się czego wstydzić!

JOANNA (*podchodzi do lustra, przypina broszkę, uśmiecha się do siebie, do Gustawa — bierze go pod rękę tuli się do niego*):

Żebyś ty wiedział, Guciu, jaką mi zrobiłeś przyjemność tą broszką!

(*Wychodzą*)

K O N I E C.

OD REDAKCJI

Stosownie do zapowiedzi drukujemy dalszy ciąg pracy Ireny Karpińskiej o polskich strojach ludowych. Zdajemy sobie sprawę, że byłoby rzeczą wskazaną zamieszczenie ilustracji kolorowych; niestety, nie pozwalają na to możliwości techniczne. Zamierzamy wydać całość opracowania p. Karpińskiej w postaci książkowej; jeżeli uzyskamy odpowiednią liczbę złoszeń, popartych przedpłatą, pokusimy się o ilustrację barwną. Fragment z książki Władysława Łozińskiego „Życie polskie w dawnych wiekach“ mówi o naszych strojach narodowych w Polsce przedrozbiorowej.

Drukując artykuł Witolda Czerwińskiego o Szopenie, liczymy się z bliską już rocznicą śmierci naszego wielkiego kompozytora. Przypominamy, że Szopenowi poświęciliśmy w roku 1949 numer specjalny.

Rozważania Jana Jordana na temat wydawnictwa angielskiego o tańcach polskich są wyrazem osobistych poglądów autora. Wnoszą one wiele problemów teoretycznych, zasługujących na szerszą dyskusję. Chętnie widzieć będziemy wszelką polemikę; jak zwykle, apelujemy do naszych czytelników o współpracę.

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

ECHA KONGRESU EUCHARYSTYCZNEGO

W dniach od 27 maja do 1 czerwca r. b. odbył się w Barcelonie 35 z kolei Kongres Eucharystyczny. Była to wspaniała manifestacja całego świata katolickiego ku uczczeniu Eucharystii, a zarazem wystąpienie na rzecz prawdziwego pokoju — pokoju ludzi dobrej woli.

Uroczystości kongresowe rozpoczęły się powitaniem legata papieskiego u wrót „Bramy Pokoju" w starym basenie portowym. Zaraz potem nastąpiła inauguracja Kongresu w katedrze barcelońskiej, gdzie odśpiewany został hymn „Veni Creator Spiritus" (Przyjdź, Duchu Święty) i odczytano specjalną bullę papieską.

Następne trzy dni były poświęcone „pokojowi rodzinnemu", „pokojowi indywidualnemu i społecznemu" i „pokojowi międzynarodowemu". Posiedzenia odbywały się w miejscowym uniwersytecie.

Równolegle trwały nabożeństwa i ceremonie kościelne. W dniu 28 maja dzieci z całej Barcelony przystąpiły do pierwszej Komunii Świętej; po południu tegoż dnia dzieci wzięły udział w zbiorowych modłach na rzecz pokoju w rodzinie i na całym świecie. Nazajutrz poza Komunią Świętą dla kobiet wygłoszone zostało kazanie skierowane do korporacji rzemieślniczych i związków robotniczych, połączone z adoracją Najświętszego Sakramentu. W dniu 30 maja odprawione zostało nabożeństwo na intencję pokoju światowego oraz Kościoła poza żelazną kurtyną, po południu zaś na placu przed kościołem Świętej Rodziny odbyły się na tę intencję zbiorowe modły.

Przedostatni dzień Kongresu (31 maja) poświęcony był jedności Kościoła Katolickiego stojącego pod znakiem Eucharystii. Dnia ostatniego odprawiona została uroczysta Msza Święta. W godzinach zaś popołudniowych wyruszyła procesja z Najświętszym Sakramentem, po czym odbyły się modlitwy końcowe.

Kongres był doniosłym wydarzeniem dla całego świata katolickiego. Przybyła nań spora grupa Polaków z Wielkiej Brytanii i z innych krajów z gen. Andersem na czele. Licznie reprezentowane było duchowieństwo polskie, któremu przewodził ks. biskup Józef Gawlina, opiekun duchowy uchodźstwa. Dzięki pomocy ze strony Światowego Komitetu YMCA w Kongresie wziął m. in. udział jeden z sekretarzy polskich grup uchodźczych YMCA/YWCA w południowych Niemczech dr E. Cichorski.

Sekcja polska wyłoniła Studium Kongresowe, które może się poszczycić poważnym dorobkiem. Wśród referatów wymienić należy m. in. odczyt ks. dra Stanisława Jezierskiego na temat stosunku Eucharystii do chrześcijańskiego Pokoju, poparty cytatami z Ewangelii, a następnie myślami rzuconymi przez św. Tomasza i obecnie panującego Papieża. Prezes Jan Jundziłł Baliński mówił o możliwościach Eucharystycznych w sferze pokoju między narodami; ks. Kazimierz Krzyżanowski przedstawił w głębokim ujęciu wpływ Eucharystii na pokój w rodzinach.

Program sekcji polskiej przewidywał także własne nabożeństwa, m. in. nabożeństwo majowe ze specjalnym kazaniem wygłoszonym przez ks. Floriana Kaszubowskiego. Pątnicy, którym dane było wziąć udział w Kongresie, wynieśli z niego nie tylko niezapomniane wzruszenia, ale i wzmocnione uświadomienie przynależności do wielkiej rodziny katolickiej.

Miesiąc Inwalidy Polskiego

Związek Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych zorganizował po raz pierwszy Miesiąc Inwalidy w dniach od 15 sierpnia do 17 września r. b. W okresie tym przeprowadzona zostanie akcja zbiórkowa połączona z werbunkiem członków wspierających. Wszelką korespondencję i ofiary na rzecz Związku Inwalidów Wojennych skierowywać należy pod następującym adresem: 100, Netherwood Road, London, W. 14.

Redakcja „Poradnika", rozumiejąc zadania projektowanego „Miesiąca Inwalidy", pragnie polecać go jak najgoręcej swoim czytelnikom i przyjaciołom.

Z ŻYCIA Y. M. C. A.

Imciarz polski na Zjeździe Młodzieży.

W dniach od 4 do 11 czerwca b.r. odbył się we Vlothe a/Weser (Niemcy Zachodnie) międzynarodowy zjazd młodzieży, na który przybyło 53 uczestników z Niemiec Zachodnich i innych krajów. Między innymi wśród uczestników znaleźli się przybysze z Anglii, Francji, Holandii, Japonii i Persji. Z Polaków przybył na zaproszenie kol. A. Zimicz z Koła Y/Y Bothfeld-Hannover.

Na referentów powołano wybitnych rzeczoznawców z Anglii, Francji, Niemiec i Włoch. W tygodniowych obradach, które toczyły się na plenum i w grupach dyskusyjnych, oświetlono wiele zagadnień międzynarodowych ze szczególnym uwzględnieniem spraw europejskich. Wymiana zdań, podobnie jak kontakty bezpośrednie, zmierzała do znalezienia nowych dróg porozumienia między narodami.

Nowe koło w Düssburg-Meidrich.

W dniu 21 czerwca b.r. zawiązane zostało oficjalnie Koło „Y" dla Polaków w Düssburg-Meidrich. Wyłoniony został zarząd w następującym składzie: prezes Haladuch, sekretarz Piasecki, skarbnik Haladuch Ryszard. Od razu nawiązano łączność z przedstawicielami innych narodowości, wciągając do współpracy w zarządzie Jugosłowianina Sudric'a i Czechosłowaka Syrbę. Nowo założonej placówce imciarskiej życzymy owocnej pracy i pomyślnego rozwoju.

Wykłady w skupieniach uchodźczych Niemiec.

Światowa YMCA/YWCA urządza od pewnego czasu w osiedlach uchodźczych na obszarze Niemiec wykłady i odczyty poświęcone problemom życia zbiorowego społeczeństw uchodźczych. Akcja ta prowadzona była nie dla przodowników ruchu imciarskiego, lecz dla ogółu mieszkańców. Program uwzględniał m.in. następujące wykłady:

1. Co to jest YMCA?
2. Walka z gruźlicą.
3. Rodzina jako podstawowa komórka wychowawcza w społeczeństwie.
4. Zabawy i rozrywki dla dzieci, młodzieży i dorosłych.
5. Wieczór świetlicowy.

Kurs tego rodzaju odbył się m.in. w ośrodku w Hildesheim, w którym zamieszkuje 332 Polaków, 205 Ukraińców i 40 Łotyszów. Wobec mieszanego składu narodowościowego wykłady odbywały się w języku niemieckim, były jednak tłumaczone zdanie po zdaniu na język polski. Odczyt o rodzinie, wygłoszony po polsku przez p. Leszczyńskiego, był dla odmiany przetłumaczony na język niemiecki. Natomiast w Broitzen (Braunschweig) znaczną większość stanowili Polacy, co pozwoliło na prowadzenie całego kursu w języku polskim.

Turniej tenisowy YMCA w Croydon.

Imciarze w Croydon zdali poważny egzamin organizacyjny, przeprowadzając bardzo sprawnie drugi doroczny turniej tenisowy o puchar przechodni YMCA. Otwarcie nastąpiło w sobotę dnia 12 lipca na miejscowym korcie w Grangewoods Park. Do rozgrywek, przeprowadzonych systemem pucharowym, zgłosiło się 16 graczy, a mianowicie pp. Bey, S. Biela, M. Dąbrowski, W. Hirszt, A. Kahellek, A. Kita, S. Kudła, F. Marczewski, N. Nowak, B. Oksień, J. Pajonk, H. Pawełczyk, J. Pieprzyca, M. Seroko, S. Stępień i S. Wolski. Po zażartych walkach do półfinału doszły pary: J. Pajonk — A. Kita i S. Biela — M. Seroka.

Gry półfinałowe odbyły się w dniu następnym. Pogoda była niepewna i obawiano się, że lada chwila deszcz może popsuć imprezę, ale szczęście dopisało croydończykom do końca i aż do ostatniej wymiany piłek na kort nie spadła ani jedna kropla deszczu. W pierwszym półfinale po zajmującej i żywej grze zwyciężył p. J. Pajonk, mający duże doświadczenie turniejowe i dość zaawansowany technicznie; p. Kita stawiał mu dzielny opór. W półfinale drugim p. S. Biela zdołał pokonać swego przeciwnika dzięki większej regularności, ale wynik spotkania był do ostatniej chwili niepewny.

Do finału stanęli zatem pp. Pajonk i Biel. Ten ostatni musiał grać prawie bezpośrednio po meczu półfinałowym, co musiało się odbić ujemnie na jego grze. Niemniej zwycięstwo p. Pajonka było bezsporne i całkowicie zasłużone. Panował on nad grą w każdej jej fazie. Na znaczną przewagę zwycięzcy wskazuje wynik cyfrowy: 6:1, 6:0, 6:1.

Wręczenia pucharu przechodniego p. Pajonkowi dokonał sekretarz programowy Polskiej YMCA, wygłaszając krótkie przemówienie okolicznościowe.

Prace i osiągnięcia Koła w Münster.

Obecny Zarząd Koła w Münster (Niemcy Zachodnie) pod kierownictwem p. St. Kasprzaka jako prezesa i p. Woltman jako skarbniczki rozwija ruchliwą działalność. Mała orkiestra wystąpiła na akademii 3 Maja, wykonując pieśni żołnierskie i ludowe. Zorganizowano lekcje muzyki pod opieką doświadczonego nauczyciela. Dla dzieci urządza Koło co miesiąc pokazy filmów rysunkowych. Pobierane z tego tytułu opłaty, oczywiście bardzo skromne, przeznacza się na specjalny program rozrywkowy dla dzieci. Czynna jest grupa teatralna, która zaopatrzyła się już w

potrzebne teksty. Podnieść wreszcie należy powstanie Klubu Młodych Przyjaciół Y/Y. Ambitnemu i żywotnemu Kołu przesyłamy słowa szczerego uznania i bardzo serdeczne pozdrowienia.

Nowy biuletyn polski YMCA/YWCA.

Otrzymaliśmy trzeci z kolei Biuletyn Informacyjny YMCA/YWCA dla Polaków w Niemczech Zachodnich. Na jedenastu stronach powielanego maszynopisu szczelnie wypełnionego materiałem znajdujemy wiele ciekawych wiadomości o ruchu YMCA/YWCA na obszarze Niemiec Zachodnich. Widać, że w zmienionych okolicznościach polski ruch imciarski nie tylko nie przygasa, ale jakby nabiera nowych sił i hartu.

Na wstępie zamieszczono garść wrażeń z Kongresu Eucharystycznego w Barcelonie, skreślonych przez sekretarza polskich grup YMCA/YWCA w południowych Niemczech p. E. Cichorskiego. W tekst dalszy redakcja wplotła własne oświadczenie, usprawiedliwiając się wobec czytelników z powodu szczupłego nakładu biuletynu. Zamiast zwiększonej liczby egzemplarzy entuzjastyczni odbiorcy otrzymali kilka rad mających dopomóc w upowszechnieniu biuletynu. Dobry to znak, jeśli jakiekolwiek pismo ma do czynienia z tego rodzaju problemami.

Podnieść należy, ze redakcja dokonywa szczerych wysiłków, aby biuletyn ożywić. Życzymy jej wielu sukcesów, pomyślnych warunków wydawniczych i zadowolenia z pracy.

Polscy Imciarze w północnych Niemczech.

Według ostatniego sprawozdania na obszarze Niemiec Północnych znajdują się 34 koła YMCA/YWCA złożone z Polaków. Do najliczniejszych należą Koła w Lüneburg (100 członków, prezes p. Pająk), w Seedorf Zeven (81 osób, prezes p. Podsiedlik), Rheine/Gellendorf (58 osób, prezes p. Wędrowski, w Hamburg/Alsterdorf (53 osoby, prezes p. Hentisz).

Obecnie powstają cztery nowe koła w Westfalii w miejscowościach Bielefeld. Düssburg-Meiderich, Düsseldorf-Rath i Dortmund (Eving). Utrudnia pracę organizacyjną stałe wyłuskiwanie aktywniejszych i bardziej ruchliwych jednostek przez oddziały wartownicze, co powoduje wyrwy w szeregach czynnych imciarzy.

Główny nacisk kładą Koła imciarskie na wychowanie młodzieży, wracając w ten sposób do swojej zasadniczej roli. Dla dzieci młodszych urządza się zabawy, przedstawienia kinowe (obrazy rysunkowe, bajki i filmy oświatowe) oraz przedszkola. Młodzież starsza uprawia gry i sport, korzysta z bibliotek, czytelni i kursów szkoleniowych. Ważne zadanie przypada oczywiście w udziale różnym uroczystościom, kościelnym i narodowym.

Wobec likwidacji Światowej YMCA/YWCA na obszarze Niemiec projektowane obozy letnie w tym roku nie będą otwarte. Jest to oczywiście ogromny zawód dla wszystkich, którzy na te obozy liczyli. Materiał obozowy w postaci namiotów, sprzętu sportowego i pewnych zapasów żywności znajduje się w magazynach w Lubece; można go częściowo użyć dla zapewnienia dzieciom miejsc na obozach urządzanych przez inne organizacje.

Otwarcie obozu letniego w Botley.

Przygotowania do tegorocznego obozu letniego zostały doprowadzone do końca zgodnie z planem. Nie obyło się bez komplikacji, spowodowanych m.in. spaleniem się części namiotów. Nie wpłynęły one jednak na terminarz obozowy.

Pierwsza partia uczestników wyruszyła na miejsce 28 lipca z londyńskiego dworca Waterloo pod kierownictwem p. Kazimierza Kowalczyka, jednego z przodowników obozowych. Kierownik obozu p. Bolesław Lesiecki wyjechał wcześniej dla wykonania wszystkich koniecznych czynności wstępnych. Z ubiegłorocznych przodowników w obozie weźmie udział p. A. Kita.

W roku obecnym położono szczególny nacisk na ugruntowanie wśród obozowców znajomości języka ojczystego i dziejów Polski. Przewiduje się m.in. czas na lekurę własną, uczenie się na pamięć fragmentów poetyckich, głośne czytanie, wykłady i pogadanki z zakresu piśmiennictwa, języka i dziejów ojczystych, wędrówki po mapie przez Polskę, śpiew chóralny z uwzględnieniem pieśni narodowych i ludowych, wieczory o Polsce i t.p. Każdy obozowicz otrzyma specjalnie opracowany śpiewnik z tekstami piosenek śpiewanych na obozie.

Film na usługach tancerzy YMCA.

Po normalnych lekcjach tańców, przewidzianych w tygodniowym programie Klubu Londyńskiego, odbył się w sobotę dnia 5 lipca pokaz filmów o Polsce dla uczestników grup tanecznych. Wyświetlono dwa obrazy: „This is Poland" oraz „City of Snows" (o Zakopanem). W pierwszym filmie zwrócono uwagę na szczegóły etnograficzne, dotyczące Góralszczyzny i Podhala.

Ciężki mecz piłkarski.

Zespół piłki nożnej Polska YMCA Londyn rozegrał spotkanie towarzyskie z klubem Junak w Hodgemoor koło Amersham, przegrywając w stosunku 3:4. Wynik ten, uzyskany na obcym boisku z jedną najlepszych drużyn polskich na obszarze Wielkiej Brytanii, należy uznać za zupełnie zadawalający. Trzeba stwierdzić, że nasza drużyna grała dobrze; z drugiej zaś strony nie wszyscy najlepsi gracze mogli wystąpić w drużynie gospodarzy. Ponowna próba sił nastąpi na meczu rewanżowym, który został zapowiedziany na dzień 10 sierpnia; odbędzie się wówczas również mecz siatkówki.

WYPOŻYCZALNIA KOSTIUMÓW PRZY KLUBIE POLSKIM YMCA W LONDYNIE

WYPOŻYCZA STROJE LUDOWE I NARODOWE DO TAŃCÓW I PRZEDSTAWIEŃ TEATRALNYCH. OPŁATA ZA WYPOŻYCZENIE KOMPLETU STROJU (Z WYJĄTKIEM STROJÓW DO POLONEZA) — 5 sh. BEZ OBUWIA, 7 sh. Z OBUWIEM; DO POLONEZA — 7/6, Z OBUWIEM 9/6. ZAMÓWIENIA LISTOWNE NALEŻY PRZESYŁAĆ NA TRZY TYGODNIE PRZED WYSTĘPEM POD ADRESEM KLUBU (6, CADOGAN GARDENS, LONDON, S. W. 3).

KLUB YMCA, LONDYN, 6, CADOGAN GARDENS, LONDON, S. W. 3, WYNAJMUJE SALE NA ZEBRANIA INSTYTUCJI, TOWARZYSTW I ORGANIZACJI (Z WYŁĄCZENIEM ZEBRAŃ O CHARAKTERZE POLITYCZNYM) ORAZ URZĄDZA HERBATKI TOWARZYSKIE. ZGŁOSZENIA OSOBISTE, TELEFONICZNE LUB LISTOWNE — DO KIEROWNICTWA KLUBU.

WYKAZ UTWORÓW SCENICZNYCH I INSCENIZACJI

DRUKOWANYCH W „PORADNIKU KULTURALNO-OŚWIATOWYM" W LATACH 1947-51

1. Komedie, fraszki sceniczne, farsy, jednoaktówki, sensacyjne:

Budzyński Wiktor —
— Kelnerzy (z nutami), Nr 116/117, rocznik 1950.
— Villa Esperanza (Miasteczko Nadziei); Nr 125, rocznik 1951.

Fredro Aleksander —
— Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna; Nr 109, rocznik 1949.
— Świeczka zgasła; Nr 121/122, rocznik 1950.
— Z jakim się wdajesz, takim się stajesz; Nr 121/122, rocznik 1950.

Kuszelewska Stanisława —
— Dama kier; Nr 93, rocznik 1948.

Lisiewicz Teodozja —
— Dwa ogniwa; Nr 113/114, rocznik 1950.
— Pomyłka Urszuli; Nr 118, rocznik 1950.
— Legenda; Nr 120, rocznik 1950.
— Amator; Nr 126/127, rocznik 1951.
— Szklanka mleka; Nr 128/129, rocznik 1951.
— Lepiej późno, niż nigdy; Nr 135/136, rocznik 1951.

Marynowski Zdzisław —
— Operacja; Nr 92, rocznik 1948.
— Słowny człowiek; Nr 104, rocznik 1949.
— Murzyn (epizod sensacyjny); Nr 107/108, rocznik 1949.
— Wyrok (epizod dramatyczny z czasów okupacji niemieckiej); Nr 130/131, rocznik 1951.

Nowakowski Tadeusz —
— Przyczyna nieznana; Nr 101, rocznik 1949.

Prus Bolesław —
— Drzymalski, ty chcesz się żenić! (Przeróbka sceniczna); Nr 119, rocznik 1950.

Tetmajer Kazimierz —
— Ksiądz Piotr, opracowanie sceniczne Olgi Żeromskiej; Nr 123/124, rocznik 1950.

2. Inscenizacje obrzędowe, świąteczne i o podkładzie ludowym:

Bogusławska Anna —
— Wesele na Mazowszu (z nutami); Nr 94/95, rocznik 1948.

Cierniak Jędrzej —
— Zapusty z „podkoziołkiem"; Nr 100, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —
— Święcone czyli aksamitna wiązanka bazi; Nr 102, rocznik 1949.
— Anioł pasterzom mówił; Nr 110, rocznik 1949.
— Dożynki i pieśni dożynkowe (z nutami); Nr 81/82, rocznik 1947.

Jabłoński Adam —
— Jarmark, widowisko na Boże Narodzenie; Nr 133/134, rocznik 1951.

Piech S.
— Wiosna idzie; Nr 77/78, rocznik 1947.
— Sobótka i Wianki (z nutami); Nr 79/80, rocznik 1947.

Schiller Leon —
— Pastorałka (z nutami); Nr 87/88, rocznik 1947.
— Wiosna w Polsce (z nutami); Nr 77/78, rocznik 1947.

Zawieyski Jerzy —
— Kołysanka Jezusowa (z nutami); Nr 133/134, rocznik 1951.

Żeromska Olga —
— Wybór poezji i muzyki religijnej; Nr 111/112, rocznik 1949.
— Wzór inscenizacji śpiewno-tanecznej: Choćbym ja jeździł (z nutami); Nr 132, rocznik 1951.

3. Inscenizacje, widowiska i słuchowiska o motywach artystyczno-literackich i historycznych:

Broncel Zdzisław —
— Matka i syn (o Stefanie Żeromskim); Nr 90, rocznik 1948.
— My wszyscy z niego (o Adamie Mickiewiczu); Nr 98/99, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —
— Wiosna ludów — wiosna narodów; Nr 89, rocznik 1948.
— Duch niesiony na skrzydłach wiatru (o rzeźbiarzu ludowym Janie Raku); Nr 96/97, rocznik 1948.
— Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami (o Juliuszu Słowackim); Nr 103, rocznik 1949.
— Pięć serc i jedna muzyka (o Fryderyku Szopenie); Nr 105/106, rocznik 1949.

Karpiński Ziemowit —
— Wspomnienie Warszawy; Nr 83/84, rocznik 1947.
— W 500-lecie Kazimierza Jagiellończyka; Nr 85, rocznik 1947.
— Olimpiada; Nr 91, rocznik 1948.

Nowakowski Tadeusz —
— Wspomnienie o Prusie; Nr 86, rocznik 1947.

4. Utwory sceniczne dla młodzieży:

Lisiewicz Teodozja —
— Pazur Niedźwiedzi; Nr 115, rocznik 1950.